

RAFAŁ LEWANDOWSKI

# SYLWETKA DOSKONAŁA



KRYMINAŁ

Rafał Lewandowski

# Sylwetka doskonała

Copyright © Rafał Lewandowski, 2024  
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Redakcja  
**Paweł Durbacz**

Korekta  
**Izabela Jędraszek-Drzazga**

Skład i łamanie  
**Rafał Lewandowski**

Projekt okładki i ilustracja na okładce  
**Piotr Kotecki – rysownik**

**e-ISBN: 978-83-970847-0-4**

Wydanie I  
Bełchatów 2024

Książka jest dostępna także w wersji drukowanej:  
ISBN: 978-83-970847-1-1

**[www.rafallewandowski.pl](http://www.rafallewandowski.pl)**

*Doskonałość nie jest żadną ochroną. Katastrofa spada  
na człowieka wtedy, kiedy najmniej się jej spodziewa.*

Janet Fitch, *Pomaluj to na czarno*

## PROLOG

Pięć litrów krwi. Albo i sześć. Właśnie tyle krwi ludzkie serce pompuje w ciągu minuty. Jednej minuty. Łatwo policzyć, że daje to kilka tysięcy litrów na dobę. Dokładniej około siedmiu tysięcy.

Serce przeciętnego zdrowego człowieka wykonuje od sześćdziesięciu do stu uderzeń na minutę. Najczęściej przekracza tę drugą wartość, kiedy, umyślnie lub nie, podejmujemy wysiłek fizyczny. Podobnie dzieje się, kiedy bardzo się czymś stresujemy lub czegoś się wystraszymy. Gdy podczas spaceru znienacka usłyszymy w pobliżu agresywne ujadanie psa, to przez moment serce bije nieco szybciej. Albo gdy wyhamujemy tuż przed rozpedzoną ciężarówką, cudem unikając groźnego zderzenia.

Ludzkie serce przyspiesza głównie podczas intensywnej aktywności fizycznej lub w sytuacjach zagrożenia. Jednak naprawdę szaleńczego tempa, wymykającego się wszelkim normom, nabiera dopiero wtedy, gdy oba te przypadki się splatają. Gdy podejmujemy z góry skazaną na porażkę walkę o przetrwanie. Gdy ze wszystkich sił staramy się uciec przed śmiercią. Wtedy serce bije najszybciej. Już nie tłoczy krwi, tylko ją z siebie wyrzuca, próbując nam pomóc, dać ostatnią szansę. Niestety, to nie może trwać w nieskończoność. Jeżeli nie wykorzystamy tej okazji, zacznie zwalniać, słabnąć. Wartki nurt krwawej rzeki przemieni się w niemrawy strumyczek. Aż w końcu ustanie. Całkowicie.

Zero uderzeń na minutę.

Zero litrów krwi...

# ROZDZIAŁ 1

– Dacie radę, to już prawie koniec!

Nina Rudzka przekrzykiwała rytmiczną muzykę płynącą z kolumn ustawionych w dwóch rogach sali. Nie przeszkadzało jej to w jednoczesnym przenoszeniu ciężaru ciała z jednej nogi na drugą i skierowanych w bok wymachach rąk. Naprzeciwko niej stało kilka kobiet, które powtarzały wykonywane przez nią ruchy niemal jak lustrzane odbicia. Niemal, bo z lekkim opóźnieniem i nie tak dokładnie jak ona.

Nina dostrzegła te niedociągnięcia, ale nie zamierzała głośno zwracać uwagi dwóm paniom, które najbardziej gubiły rytm i nie były w stanie utrzymać prawidłowej pozycji. Oczywiście jako instruktorka nie tylko pokazywała poszczególne ćwiczenia, lecz także tłumaczyła błędy i korygowała niewłaściwe postawy uczestniczek zajęć, jednak tym razem postanowiła odpuścić. Nie, wcale nie z lenistwa. Wręcz przeciwnie, jakaś część jej natury perfekcjonistki kuśiła ją, by podejść do pani Grażyny i ustawić jej wciąż opadające ramiona równoległe do podłogi. Jednak stłamsiła w sobie ten odruch.

Rudzka dobrze wiedziała, że te drobne odstępstwa, na które pozwalały sobie niektóre z ćwiczących, nie wynikały z niedbałości, a po prostu ze zmęczenia. Doskonale to rozumiała, sama czuła już lekkie pieczenie w mięśniach, poza tym część zgromadzonych tu kobiet była od niej znacznie starsza i ich kondycja pozostawiała wiele do życzenia. Przymknęła więc na to oko, zresztą prowadziła tu treningi, a nie tresurę. Z założenia zarówno ona, jak i jej klientki robiły to z własnej woli i dla przyjemności. Miała nadzieję, że tak jest naprawdę.

– Dziewięć i dziesięć – powiedziała, po czym opuściła ręce wzdłuż tułowia i podniosła się z półprzysiadu, zbliżając stopy do siebie. – Jeszcze chwila rozciągania i kończymy.

Stała w szerokim rozkroku i swobodnie przechyliła górną część ciała w kierunku parkietu. Uwielbiała te sekundy relaksu po intensywnym treningu, gdy mięśnie się naciągały, a myśli swobodnie krążyły, bez planu, bez celu, bez trosk. To był jedyny moment, kiedy czuła się naprawdę wolna, tak jakby niczego nie musiała i nikt nie miał wobec niej żadnych oczekiwań. Pochylała się coraz głębiej i gdyby uchyliła powieki, ujrzałaby w zamocowanym za nią lustrze własne odbicie. W końcu jednak trzeba było się podnieść i wykonać w ramach stretchingu parę innych ćwiczeń.

Dokładnie siedem minut później dla rozluźnienia strzepnęła dłońmi.

– To wszystko na dzisiaj – oznajmiła Nina.

Uśmiechnęła się, bo zauważyła, że te słowa wywołały na niektórych spoconych twarzach wyraźną ulgę.

– Dziękuję wam za wysiłek i oczywiście zapraszam na kolejne zajęcia.

– Na pewno przyjdę – odparła nieco zaokrąglona na twarzy i brzuchu dziewczyna przed trzydziestką, Andżelika. – Było super!

Kilka pozostałych kobiet skwapliwie ją poparło.

\*\*\*

Unoszący się w powietrzu zapach mógł przyprowadzić o zawroty głowy. Mieszały się tu wonie rozmaitych perfum i dezodorantów – od lekkich owocowych nutek po przytłaczająco ciężki piżmowy aromat. Wszystkie miały ten sam cel – zneutralizować inny niepożądany zapaszek. Niestety, to właśnie pot był tu najbardziej wyczuwalny, niczym nie dało się go w pełni zamaskować. Właściwie wszelkie takie próby jedynie pogarszały sprawę, gdyż wiążąc się z nim, aerozole tworzyły nieprzyjemną mieszaninę, która niemal namacalnie wisiła nad głowami przebierających się tu kobiet.

Ta walka na zapachy zaczęła się, jeszcze zanim tu przyszły. Ich zajęcia były ostatnie, od rana przez tę szatnię przewinęło się kilkadziesiąt osób, może i ze sto. Każda z nich wniosła ze sobą jakiś zapach, zarówno naturalny, jak i syntetyczny, przyniesiony tu w torebce lub sportowej torbie. Część woni się ulotniła, ale część miała pozostać do następnego dnia.

– Nina dała nam dzisiaj niezły wycisk – stwierdziła Kamila.

Sama była zdziwiona, że powiedziała to na głos. Chociaż знаła się z tymi kobietami od ponad roku, nie nawiązała bliższej relacji z żadną z nich. Niewiele też z nimi rozmawiała, ograniczając się do powitań i zdawkowych odpowiedzi, przynajmniej kiedyś, gdy jeszcze próbowały ją zagadywać. Nigdy nie inicjowała dyskusji w tym gronie. W zupełności, a nawet z nawiązką wystarczało jej to, ile musiała nagadać się na co dzień, w pracy.

Nie miała na myśli niczego złego. Po prostu była dzisiaj wyjątkowo zmęczona, odbyła w kancelarii kilka spotkań z niezwykle uciążliwymi klientami, a intensywny trening dał się jej we znaki. Zamiast wytchnienia, które jej zazwyczaj przynosił, kompletnie ją wykończył. Gdyby wiedziała, jaką reakcję wywołają jej słowa, bez wątpienia zachowałaby je dla siebie.

– Nie miała dla nas litości – zgodziła się z nią Grażyna. – Myślałam, że ducha wyzionę, a ta chuda szczapa tylko krzyczała, że jeszcze i jeszcze raz, i jeszcze szybciej.

– One wszystkie są takie same – podchwyciła najstarsza w tym gronie Halina Kowalczyk. – Wydaje im się, że jak one mogą, to inni też powinni za nimi nadażać. Gdybym miała ze dwadzieścia lat mniej, to ta Nina musiałaby się nieźle napocić, by mi dorównać.

Chyba ze czterdzieści – pomyślała Pola Strzelczyk. I ze dwadzieścia kilogramów, a i to pewnie niewiele by pomogło.



Nie podobało jej się, że starsza pani tak niepochlebnie wyraża się o jej przyjaciółce, mimo to zostawiła te przemyślenia dla siebie. Woląca nie zabierać głosu w tej dyskusji. Wiedziała, że nie uda jej się nikogo przekonać, wręcz przeciwnie, jakakolwiek próba obrony instruktorki mogła jeszcze podsycić negatywne emocje. Sądziła, że jeśli przemilczy swój sprzeciw, to ten wątek samoistnie wygaśnie, jak ognisko, do którego przestano dorzucać drewno.

Niestety, nie wszystkie koleżanki z zajęć podzielały jej podejście. I to nie tylko te najstarsze.

– Gdybym tak jak ona składała się z samej skóry i kości, to też mogłabym ćwiczyć bez wysiłku. I to całymi godzinami – oznajmiła Melania.

Dziewczyna ledwo co przekroczyła dwudziestkę, mimo to w niczym nie przypominała stereotypowej klientki klubu fitness – szczupłej, wysportowanej, czyli takiej, której żadne ćwiczenia czy zajęcia modelujące sylwetkę nie są właściwie do niczego potrzebne. Owszem, jej drobna, lekko pociągła twarz była ładna i sugerowała całkiem atrakcyjną resztę ciała, ale rzeczywistość okazywała się pod tym względem nieco rozczarowująca. Już od szyi w dół wyglądała jak klocek: poczynając od szerokich ramion, poprzez zbliżonych rozmiarów biodra, na masywnych udach i łydkach kończąc. W dodatku przez otaczającą niemal całe ciało warstwę tkanki tłuszczowej wzbudzała skojarzenie z żelką w kształcie misia.

– Dzisiaj rzeczywiście dała nam popalić – wtrąciła wychudzona do granic możliwości Joanna. – Jakby musiała się wyżyć i wyrzucić z siebie nadmiar energii.

– Może po prostu dawno jej ktoś porządnie nie przeleciał? – zasugerowała Iza, jednocześnie rozczesując szczotką długie blond włosy, które na czas treningu zebrała w koński ogon. – Niektórym dziewczynom czasem odbija, jak są niedoruch... – urwała, czując, że nieco się zapędziła. – Niedokochane – poprawiła się po chwili namysłu.

– Myślę, że wręcz przeciwnie – rzuciła Andżelika i zachichotała. – Czasem wydaje mi się, że ona właśnie w ten sposób spala te wszystkie kalorie. Że ta smukła sylwetka bez grama tłuszczu to wcale nie zasługa treningów, tylko ostrego seksu.

– Możliwe – stwierdziła Grażyna. – W końcu na pewno nie narzeka na brak zainteresowania ze strony facetów. Żaden mężczyzna by jej z łóżka nie wygonił, co nie?

– Opanujcie się. Przecież ona ma męża – zaprotestowała Pola.

Co prawda zamierzała się nie odzywać, by nie zaognić dyskusji, jednak nie mogła dłużej tego słuchać. Jeszcze parę minut temu wszystkie te kobiety uśmiechały się do Niny, dziękowały za zajęcia, zapewniały, że bardzo im się podobały, a teraz narzekały i obgadywały ją. Sama też nie była święta, lecz mierzyła ją taka dwulicowość.

– I w czym to niby przeszkadza? – zdziwiła się Halina. – Co do tego ma mąż? Przecież wcale nie musi o tym wiedzieć.

Starsza pani zaśmiała się. Jeszcze nie zdążyła się do końca przebrać, stała przed szafką jedynie w obszernych majtkach i biustonoszu, w którym ledwo co mieściły się obfite, choć już niezbyt jędrne piersi. Gdy zaniósła się śmiechem, zafalowały, pociągając za sobą także pofałdowany brzuch.

Pola odwróciła wzrok, nie chciała na to patrzeć. Czuła, że musi stąd wyjść, i to jak najszybciej. Jedną ręką chwyciła przepocony T-shirt, spodnie oraz sportowy stanik. Nie tracąc czasu na składanie ciuchów, wrzuciła je do torby.

Ona taka nie jest, chciała jeszcze dodać, ale zrezygnowała. To i tak by nic nie dało. Wyszła z szatni bez słowa, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi. Festiwal obmawiania instruktorki trwał w najlepsze.

– Gdyby moja praca polegała na bezmyślnym wymachiwaniu rękami i nogami przez cały dzień, to pewnie też bym tak wyglądała. Albo i lepiej – oznajmiła Elżbieta. – Niestety, nie mogę sobie na to pozwolić.

– Dlaczego? – spytała Grażyna.

– Najpierw musiałam zajmować się dziećmi, a gdy podrosły, poszłam do pracy. Normalnej pracy, a nie w klubie z jakimiś wygibasami.

Kamila chciała wtrącić, że przecież ona też przychodzi tu robić te wygibasy, jednak odpuściła. Już raz się dzisiaj odezwała i wywołała lawinę. Poza tym brała pod uwagę, że Ela mogła inaczej postrzegać wykonywanie tych ćwiczeń rekreacyjnie, dla sportu niż zajmowanie się nimi zawodowo. W sumie to trochę jak z seksem – pomyślała. Jest różnica, czy uprawiasz go od czasu do czasu, dla przyjemności, czy kilka razy dziennie, dla forsy. Tego też w żadnym przypadku nie planowała mówić na głos, domyślała się, jakie reakcje by to wywołało.

Wsunęła na stopy buty na niskim obcasie i ruszyła w ślady Poli. Na korytarzu zwróciła uwagę, że powietrze pachnie jakoś inaczej niż w szatni. Było czystsze. Lżejsze. Tak jakby wkroczyła do świata o zupełnie odmiennej atmosferze. Po chwili namysłu uznała, że w pewnym sensie tak właśnie było. Nie miała jednak na myśli wyłącznie tego, co odbierała węchem.

## **Kamila Bąk-Starzyńska – 1994 rok**

Na hali panuje gwar, mimo to staram się skupiać tylko na jednym dźwięku. Lekkim szuraniu płóz sunących po gładkiej tafli lodu. Jeszcze chwilę temu, przygotowując się do występu, okropnie się stresowałam, ale to już minęło. W końcu doskonale wiem, co muszę zrobić i jestem przekonana, że dam radę.

Przez ostatnie lata ciężko pracowałam, żeby się tu znaleźć. Kiedy jako kilkulatka po raz pierwszy zakładałam łyżwy – ku zachwycie taty i obawom mamy – chyba nikt nie przypuszczał, że stanie się to dla mnie czymś więcej niż sezonową rozrywką. A teraz wiruję w piruecie z pełną

świadomością, że zaledwie sekundy dzielą mnie od zdobycia tytułu mistrzyni Polski junierek.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że wystarczy moment, by to zaprzepaścić. Jedno złe stąpięcie, jedno zachwianie, odrobinę zbyt mocne lub zbyt słabe wybicie się i wszystko przepadnie. Jednak ciało zachowuje się pewnie, wykonując wyuczony ruchy dokładnie tak jak trzeba, niemal automatycznie. Konsekwentnie realizuję wyćwiczony program, krok po kroku.

Kiedy po wręcz idealnym podwójnym toe-loopie płozy znów stykają się z gładką powierzchnią, z ulgą wypuszczam powietrze z płuc, choć wiem, że to jeszcze nie koniec. Została mi do zaprezentowania najtrudniejsza figura – axel. Widziałam i robiłam ją już mnóstwo razy, mimo to wizualizuję sobie w myślach, jak powinna wyglądać. Spośród koleżanek, z którymi na co dzień trenuję, radzę sobie z nią najlepiej, ale nawet mnie od czasu do czasu zdarzało się coś sknocić. To jednak nie pora na myślenie o błędach, staram się przywołać w pamięci te skoki, które wyszły mi nie gorzej niż profesjonalnym łyżwiarkom figurowym walczącym o olimpijskie medale.

Biorę głęboki wdech i wybijam się. Mam wrażenie, że czas się zatrzymał, ludzie na trybunach zamilkli, a wszystko poza mną zastygło w bezruchu. Dopiero kiedy stoję wyprostowana, z uniesioną głową, dociera do mnie cały ten ggiełk. Okrzyki, brawa.

Gdy podbiegają dziewczyny z drużyny i zaczynają mnie ścisnąć, uświadamiam sobie, co właśnie zrobiłam. Patrzę na noty sędziowskie, które nie pozostawiają żadnych wątpliwości. Na przyszłoroczne mistrzostwa Europy juniorów pojedę jako mistrzyni Polski.

## ROZDZIAŁ 2

Olga Nowik obróciła klucz w zamku i drzwi klubu fitness stały przed nią otworem. Przyszła tu dzisiaj jako pierwsza. W prawej dłoni ścisnęła duży brelok. Ten pęk kluczy pozwalał jej na dostęp do niemal wszystkich pomieszczeń na terenie obiektu. Codzienne otwieranie i zamykanie firmy wchodziło w zakres jej obowiązków, mimo że w umowie o pracę, którą podpisała prawie trzy lata temu, w polu „stanowisko” nie widniał zapis „odźwierna” tylko „recepjonistka”.

Gdy wkroczyła do środka, drzwi szybko się za nią zamknęły, nie wpuszczając rozgrzanego powietrza z zewnątrz. Mimo dość wczesnej pory na dworze było już ciepło, zaś według prognoz w najbliższych godzinach temperatura miała przekroczyć dwadzieścia pięć stopni Celsjusza. Gorąco jak na połowę kwietnia – pomyślała. Na szczęście w klimatyzowanym wnętrzu nie będzie to takie odczuwalne. Dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, że coś jest nie tak.

Klimatyzacja zwykle była włączona w godzinach pracy firmy. Według Nowik nic nie stałoby na przeszkodzie, by chodziła także i w nocy, zwłaszcza przy upałach, jednak szef się na to nie zgadzał. Ubiegłego lata parokrotnie próbowała go przekonać, ale bezskutecznie. Oficjalnie właściciel klubu twierdził, że chodzi o kwestie bezpieczeństwa. Tłumaczył, że gdyby nocą, kiedy nikogo tu nie ma, doszło do jakiegoś spięcia lub innej awarii, klub mógłby ulec zniszczeniu, a może i całkiem spłonąć. Taki scenariusz wydawał jej się bardzo mało prawdopodobny. Była niemal pewna, że to zarządzenie Krystiana Rogaczewskiego zostało poddyktowane względami ekonomicznymi.

Wszyscy pracownicy doskonale bowiem wiedzieli, że właściciel ProFitu próbował zaoszczędzić na czym tylko się dało. Głównie na personelu i jego pensjach, lecz nie brakowało mu w tym zakresie i innych ciekawych pomysłów.

Jak choćby z mydłem w płynie w szatniach i łazienkach. Zwykle w pojemnikach znajdowało się więcej wody niż mydła. Gdy kiedyś szef poinstruował ją, jak należy je napełniać, nieopatrznie potraktowała jego słowa jako żart. Już samą myśl uznała za absurdalną, a kiedy jeszcze usłyszała o proporcjach – jeden do trzech na korzyść zwykłej wody z kranu – nie dała rady się powstrzymać i parsknęła śmiechem. Wcale jednak nie było jej do śmiechu, gdy parę minut później jedna z koleżanek z pracy uświadomiła jej, że właściciel mówił poważnie.

A to tylko jeden z przykładów. Rogaczewski, gdyby mógł, to najchętniej pobierałby od klientów dodatkową opłatę za każdorazowe skorzystanie z toalety czy prysznicza. Zapewne powstrzymywała go przed tym jedynie obawa, że większość, a może i nawet wszyscy posiadacze klubowych karnetów przenieśliby się wtedy do jedynej konkurencyjnej firmy w mieście – Body Fitu.

Recepcjonistka była przekonana, że wczoraj, tuż przed wyjściem z pracy, wyłączyła klimatyzację. Czasem zapomniała to zrobić i zwykle przypominała sobie o tym dopiero w domu, gdy otwierała okno, by wywietrzyć sypialnię przed snem, jednak wczoraj wieczorem nic podobnego się nie stało. No trudno – stwierdziła. Widocznie jakoś mi to umknęło. Może pomyliłam dni i wcisnęłam ten przycisk przedwczoraj? – zastanawiała się. W końcu w tej pracy każdy dzień wygląda podobnie. Nieważne, wtorek, środa, czwartek, bez różnicy. Co do pozostałych dni roboczych różnicę już dostrzegała. W poniedziałek wracała tu po weekendzie, a w piątek myślała o kolejnym. Weekendzie rzecz jasna, nie poniedziałku.

Może to i lepiej, że nie wyłączyłam tej klimy – pomyślała, gdy zasiadła na obrotowym fotelu po wewnętrznej stronie kontuaru. Gdyby nie to, pewnie panowałby tu okropny zaduch.

Nie obawiała się, że szef wyciągnie wobec niej konsekwencje za to niedopatrzenie. Nawet jeśli uważnie przestudiuje kwietniowy rachunek za prąd, nie zorientuje się, że jest odrobinę wyższy niż powinien być. Zarówno to, jak i inne oszczędnościowe cięcia proponowane przez Krystiana nie przynosiły bowiem większych efektów, zwyczajnie ginęły w kosztach funkcjonowania firmy.

Olga zalogowała się na służbową pocztę. Zanim mrużące kropeczki krążące na środku monitora zniknęły, ukazując w zamian liczbę nowych nieprzeczytanych wiadomości, już nie było jej za biurkiem. Maile musiały poczekać, choć zwykle to właśnie od nich zaczynała każdy dzień pracy, a przynajmniej robiła tak jeszcze miesiąc temu.

Westchnęła i niczym lekarz w szpitalu udała się na obchód klubu. Pierwsze zajęcia zaczynały się o dziewiątej, do tej pory trzeba było doprowadzić do ładu salę, w której miały się odbyć. Teoretycznie w ogóle nie powinno jej to interesować, o samym robieniu tego nawet nie wspominając, w końcu nie zatrudniała się tu w charakterze sprzątaczk. Jednak odkąd szef zrezygnował z usług poprzedniej ekipy sprzątającej, podobno domagającej się horrendalnej i niczym nieuzasadnionej podwyżki, jakoś nie udało mu się znaleźć nowej i tańszej. A od tego czasu minął już ponad miesiąc!

Oczywiście klub nie mógł zarastać brudem, powinien spełniać chociaż minimum norm sanitarnych. Początkowo Krystian próbował podzielić te obowiązki pomiędzy pozostałych członków personelu, ale jakoś nikt nie kwapił się do odkurzania czy mycia podłóg. Jedna z pracownic – Łucja – była nawet wyraźnie oburzona taką sugestią i zagroziła mu, że zamiast po szmatę pójdzie zaraz do domu i już nie wróci. Na szczęście szef załagodził tę sytuację i nadal tu pracowała. Olga nie sądziła, by właściciel zrozumiał nie stosowność swojej propozycji, pewnie nie widział w tym nic złego i ustąpił jedynie dlatego, że nie mógł pozwolić

sobie na odejście instruktorki, której zajęcia przyciągały do klubu większość jego klientów. Zdawał sobie sprawę, że gdyby Łucja odeszła – choćby do Body Fitu – to zabrałaby tam ze sobą prawie połowę ćwiczących tu kobiet. Nie dopuścił do tego, lecz problem sprząwania pozostał nierozwiązany. Mimo to nie zdecydował się zatrudnić nikogo na stałe.

Recepcjonistka przypuszczała, że wynika to z faktu, iż rozumiał, że poprzednia ekipa sprząająca, nawet po podniesieniu stawek za swoje usługi, oferowała niższe ceny niż konkurencja. Rogaczewski był jednak zbyt dumny, by przyznać się do błędu. Wolał korzystać z usług dużej agencji (z proporcjonalnym do wielkości cennikiem), jednak klubu nie było stać na to, by pracownicy serwisu sprząającego pojawiali się tu tak często jak ich poprzednicy. W praktyce przychodzili tylko raz dziennie i uwijali się ze wszystkim w ciągu dwóch godzin.

Przedtem sprząano tuż po zakończeniu zajęć, jeszcze tego samego dnia, ale agencja liczyła sobie więcej za pracę w tych godzinach, podobnie zresztą jak wczesnym rankiem. W końcu skoro większość firm nie chciała, by zakłócano ich funkcjonowanie warkotem odkurzacza czy przeganianiem pracowników od biurka, to nic dziwnego, że usługi świadczone o tych porach były droższe. Ze względu na tę oszczędność sprząaczki pojawiały się w klubie dopiero o dziewiątej, czyli wtedy, gdy już rozpoczynały się pierwsze treningi.

W związku z tym właśnie na Olgę spadł dodatkowy obowiązek porządkowania sali, w której się odbywały. Teoretycznie mogła się na to nie zgodzić, tak jak zrobili to pozostali pracownicy, lecz nie chciała ryzykować zwolnienia. Zdawała sobie sprawę, że pełni tu funkcję pomocniczą, nie wypracowuje bezpośredniego zysku tak jak instruktorzy, więc zastąpienie jej kimkolwiek innym nie stanowiłoby większego problemu. Przystała na te poranne porządki,



choć tylko w ograniczonym zakresie, sprzeciwiając się na przykład szorowaniu toalet. Jej wypięłgnowane dłonie i paznokcie nie zniosłyby tego.

Hol, w którym znajdowała się recepcja, nie wymagał sprzątanía, podłoga śmiało mogła poczekać do przyjazdu sprzątaczek. Dobrze, że już nadeszła wiosna – pomyślała. W marcu cały hol tonął w roztopionym śniegu i błocie.

W korytarzu zebrała kilka drobnych monet. Widocznie musiały wypaść komuś z kieszeni – uznała. Zazwyczaj zanosila wszystkie znalezione przedmioty do szafki przy wejściu, starając się później ustalić ich właścicieli, jednak tym razem wrzuciła bilon do własnej portmonetki. Gdyby w grę wchodziła większa kwota, to by jej sobie nie przywłaszczyła, ale to nie było nawet pięć złotych.

Weszła do pomieszczenia, w którym za nieco ponad pół godziny miały odbyć się pierwsze zajęcia. Pobojuwisko, które ujrzała za drzwiami, wcale jej nie zaskoczyło. Instruktorzy zwykle nie hańbili się choćby minimalnym uporządkowaniem sali po treningu. Większość parkietu była zaścielona matami porzuconymi przez klientki tam, gdzie akurat stały. Pomiedzy nimi wały się duże różowe i niebieskie piłki oraz splątane taśmy. Obok stojaka leżało kilka hantli.

Olga zebrała maty na jedną stertę i niczym pies pasterski zapędziła niesforne piłki pod ścianę. Podniosła najmniejsze ciężarki; z tymi największymi nie zamierzała się nawet szarpać. Pracowała tu, ale jako jedyna w tej firmie nie mogła pochwalić się dużą siłą ani dobrą kondycją. Na szczęście jej wygląd tego nie zdradzał. Gdyby tak było, to pewnie nie dostałaby tej pracy – siedząca za recepcją dziewczyna przy kości nie stanowiłaby najlepszej reklamy klubu fitness.

Ogarnęła wzrokiem efekty swoich działań. Nie jest źle – stwierdziła. Zresztą i tak zaraz przyjdą tu pierwsze klientki i znowu porozwlekają akcesoria do ćwiczeń po całej sali.

Właściwie mogłaby wrócić za biurko, lecz postanowiła zająrzeć jeszcze na górę, do pomieszczenia, w którym wczoraj odbywały się ostatnie zajęcia. Olga przypuszczała, że panie z serwisu sprząającego nie będą miały tam zbyt wiele do roboty, wystarczy, że przelecą na mokro podłogę, na której nie wała się żaden przypadkowo porzucony przedmiot. Tamten trening prowadziła bowiem Nina Rudzka – jedyna instruktorka, która nie zostawiała bałaganu wszędzie tam, gdzie się pojawiła.

Wbrew pozorom to wcale nie był wynik tego, że tak karnie podporządkowała się zaleceniom czy raczej zarządzeniom szefa. Zachowywała się tak samo jeszcze przed całym tym cyrkiem ze zwolnionymi sprzątaczkami. Nina po prostu była pedantką i perfekcjonistką, nie bałagała i nie pozwalała sobie na żadne niedociągnięcia. Nie tylko w ramach ćwiczeń. Nigdy też nie spóźniała się do pracy. Ani razu. Ani o minutę, czego nie można powiedzieć o pozostałych. W tym także o Oldze, której czasem zdarzało się zasnąć.

Ta instruktorka nie wychodziła z sali razem z uczestniczkami zajęć. Zawsze zostawała parę minut dłużej, żeby doprowadzić wszystko do ładu, ustawić tam, gdzie stać powinno. Po jej treningach maty leżały w idealnie równym stosie, żaden kolorowy prostokąt nie wychylał się ani na centymetr. Gumy do ćwiczeń nigdy nie były poplątane, do tego sortowała je według kolorów. Nawet te piłki, które często turlały się nie tam, gdzie by się chciało, trzymały się w ryzach, jakby ustawiała je w rzędach, wspomagając się przy tym linijką.

Szkoda, że dzisiejszy dzień nie zaczyna się od jej treningu – pomyślała recepcjonistka. Wtedy nie musiałabym tak wcześnie tu przychodzić – rozmarzyła się.

Pchnęła drzwi niedużej sali na piętrze. Nie była pewna, ale wydawało jej się, że po drugiej stronie coś lekko o nie stuknęło. Właściwie nie tyle to usłyszała, co poczu-

ła. Przekroczyła próg i niemal natychmiast przystanąła, jakby jej nogi właśnie zastygły się w płynnym cemencie. Patrzyła przed siebie, szybko mrugając. Nie wierzyła własnym oczom.

## Andżelika Wrońska – 2012 rok

Na stoliku obok talerza z ciasteczkami stawiam dwa kubki z kawą. Czerwony dla mnie, zielony, skądinąd jego ulubiony, dla Adriana.

– Miło, że spadłeś – mówię. – Co tam u ciebie?

Widzę, jak przez twarz mężczyzny przemyka zbolaly grymas.

– Znowu trochę pokłóciłem się z Marleną – przyznaje.

Kiwam głową, starając się przybrać jak najpoważniejszą minę. Przychodzi mi to z trudem, bo po tych słowach czuję przepelniającą mnie radość. Oczywiście żal mi Adriana, przecież widzę, że kolejne nieporozumienie z dziewczyną sprawiło mu przykrość, ale wiem też, że to nie jest odpowiednia kobieta dla niego.

Kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłam, wprost nie mogłam uwierzyć, że zdołała wzbudzić jego zainteresowanie. Niska, grubawa, z rzadkimi włosami w mysioszarym kolorze. Według mnie u boku Adriana o wiele lepiej prezentowałyby się niemal równie wysoka jak on, szczuplutka i za dbana blondynka z włosami sięgającymi prawie do pasa. Krótko mówiąc, ja.

Poznałam go jeszcze przed maturą, od razu wpadł mi w oko. Próbowalam wszystkiego, żeby i on zwrócił na mnie uwagę. Uśmiechałam się, zagadywałam, w końcu udało mi się pozyskać jego sympatię i zaufanie, zaczął mi się zwierzać i traktować jak przyjaciółkę. Na początek musiało mi to wystarczyć, lecz absolutnie nie zamierzałam na tym poprzestawać. Podobał mi się, był przystojny, inteligentny, wygadany. Po prostu idealny kandydat na męża i przyszłego

ojca moich dzieci. Już od dawna snułam wobec niego takie plany, wręcz nie wyobrażałam sobie, by mogło być inaczej. A to, że tymczasowo tkwił w związku z inną kobietą, stanowiło tylko drobną przeszkodę w realizacji tego celu.

Nie licząc takich chwil jak ta dzisiejsza, o dziwo wydawał się z nią szczęśliwy, ale ze mną przecież byłby szczęśliwy o wiele bardziej. Marlena nie stanowi dla mnie żadnej konkurencji, nie może się ze mną równać, wiem, że pozbycie się jej z naszego życia to jedynie kwestia czasu. I od paru tygodni robię wszystko, żeby ten moment przyspieszyć.

– Ona kompletnie nie rozumie twoich potrzeb – mówię, patrząc mu w oczy.

W poszukiwaniu bezpośredniego, fizycznego kontaktu, którego od dawna tak łaknę, pocieszająco gładzę jego dłoń. Jest ciepła, wyobrażam sobie, jak ogrzewa najdelikatniejsze fragmenty mojego ciała, choć wiem, że nie nastąpi to jeszcze dzisiaj. Ale już wkrótce. Prędeży czy później.

– Jesteś dla niej za dobry – kontynuuję. – A kiedy ona zrobiła coś po raz ostatni dla ciebie?

– Całkiem niedawno – rzuca z uśmiechem.

To wcale mi się nie podoba. Owszem, ten uśmiech jest zniewalający, lecz przez chwilę Adrian wygląda tak, jakby puścił w niepamięć ich kłótnię. Poza tym nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to, o czym właśnie wspomniał, wiązało się z łóżkowymi zabawami, którym oddawał się z nią, a nie ze mną. Wciąż zresztą nie potrafię, a przede wszystkim nie chcę, wyobrazić sobie tego kaszalota nago, usiłującego przybrać seksowną pozę – w przypadku Marleny wydaje mi się to wręcz niemożliwe.

Sprowokowana, postanawiam sięgnąć po działa dużego kalibru. Choć w tym konkretnym przypadku powinienam raczej powiedzieć grubego kalibru.

– Co nie zmienia faktu, że mogłaby o siebie trochę zadbać – stwierdzam. – Nie sądzisz, że jest odrobinę za...

pulchna? – nie wiedzieć czemu decyduję się na łagodniejsze określenie, niż zamierzałam.

– Nie, chociaż ostatnio chyba rzeczywiście nieco przytyła. No ale co zrobić?

– Wziąć się za siebie. Ruszyć tyłek sprzed telewizora i nie jeść byle czego. Dla takiego faceta jak ty warto się postarać. W końcu zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

Na mnie – dodaję w myślach, słodko się do niego uśmiechając.

## ROZDZIAŁ 3

Różowa piłka powoli toczyła się po podłodze. Mimo że drewniany parkiet nie świecił pustkami, przez długi czas nic nie stanęło jej na drodze. Przeturlała się przez niemal całą szerokość sali i zatrzymała się dopiero w kącie, napotyając przeszkodę.

Olga Nowik tkwiła w bezruchu, śledząc trasę gumowej kuli. Wiedziała, że to ona wprawiła ją w ruch, to właśnie było to miękkie stuknięcie, które jej świadomość zarejestrowała dosłownie kilka sekund wcześniej. Recepcjonistka nie wierzyła własnym oczom. Widok, który się przed nią roztaczał, do złudzenia przypominał ten, który zastała na parterze. Gdyby nie to, że przed chwilą tam posprzątała, pomyślałaby, że przez pomyłkę ponownie weszła do tamtej sali.

Kiedy nieco uważniej się przyjrzała, dostrzegła pewne różnice. Tutaj część mat była już na swoim miejscu, pod ścianą, choć nie leżały tak równo jak zwykle. Zupełnie tak, jakby ktoś zaczął je zbierać, lecz nagle musiał zająć się czymś innym lub w pośpiechu wyjść. Jak dotąd Nina nie zachowywała się w ten sposób, może tym razem wypadło jej coś wyjątkowo pilnego – pomyślała Olga. Usiłowała sobie przypomnieć, czy wczoraj widziała instruktorkę

wychodzącą z klubu. Wydawało jej się, że tak, ale nie miała pewności, czy to rzeczywiście było wczoraj.

Dziewczyna zerknęła na zegarek. Ósma trzydzieści cztery. Za jakieś dziesięć minut zaczną schodzić się pierwsze klientki. Przyjdzie też Dorota Malicka, która ma dla nich poprowadzić poranny trening.

Nowik skrzywiła się na samą myśl o niej. Delikatnie rzecz ujmując, nie przepadała za tą kobietą i raczej nie była w tej niechęci odosobniona.

Jeszcze raz ogarnęła wzrokiem panujący na sali nieład. Choć nie musiała, postanowiła zrobić tu porządek. Ninę akurat lubiła, i to bardzo, mogła więc wyświadczyć jej drobną przysługę i posprzątać. Co prawda wiedziała, że zanim Rudzka pojawi się w klubie ponownie, odbędzie się tu parę innych treningów, nie chciała jednak, by pozostali zobaczyli ten bałagan. Pewnie wcale by im nie przeszkadzał, bo sami robili nie mniejszy rozgardiasz, lecz wolała, aby nic nie zepsuło idealnej opinii, jaką cieszyła się jej koleżanka – w odróżnieniu od niektórych lubiana przez wszystkich. Oprócz Doroty.

Olga zaczęła zbierać porozrzucane przedmioty. Podeszła do kąta, w którym zatrzymała się trącona przez nią piłka. Tam leżały ostatnie niesprzątnięte maty. Odsunęła nogą różową kulę. Maty były pofałdowane, jakby skrywały pod sobą jakiś nieregularny kształt. Podniosła pierwszą z nich. Z gardła wyrwał jej się niekontrolowany krzyk.

## ROZDZIAŁ 4

Kobieta siedziała w fotelu. W leżącej na podłokietniku ręce mocno ścisnęła pilota od telewizora. Zupełnie tak, jakby nie zamierzała pozwolić, by ktokolwiek go przechwycił i zmienił kanał. Nie widziała obrazów wyświetlających się na ekranie, mimo iż stary kineskopowy odbiornik wciąż był włączony i rozświetlał jej twarz migotliwym koloro-

wym blaskiem. Miała zamknięte oczy. Wyglądała tak, jakby program, który jeszcze chwilę temu oglądała, bardzo ją znudził, sprawiając, że zapadła w drzemkę. Chyba każdy w pierwszej chwili wysnułby właśnie taki wniosek.

Wbrew pozorom siedemdziesięcioletnia Anie-la Lipska wcale nie spała. Wystarczyło przyjrzeć się nieco uważniej, by dostrzec przyschnięty podłużny ślad, ciągnący się w dół, od kącika obwisłych ust do brody i podbródka, gdzie w końcu ginął wśród nieregularnych zmarszczek na szyi. Nie była to jednak strużka śliny, a przynajmniej nie tylko śliny. Dolną część twarzy staruszki znaczyła zakrzepła krew. Zastygła też na oparciu fotela, ale ze względu na bordowe obicie mebla aż tak bardzo nie rzuciła się w oczy, zresztą siedząca na nim kobieta niemal w całości zakrywała tę plamę. Znacznie lepiej było to widoczne na kolejnym zdjęciu, zrobionym tuż po tym, jak ciało pani Lipskiej trafiło do czarnego worka z zamkiem błyskawicznym. Na tej fotografii spryskany luminolem fotel lśnił niczym starannie wypolerowany kryształ. Taki jak można zobaczyć chyba jedynie w reklamach pozornie cudownych i niezawodnych środków czyszczących – pomyślała Urszula Czyż.

Komisarz westchnęła i odsunęła od siebie akta. Wertowała je od samego rana, łudząc się, że nagle dostrzeże w nich coś, co pchnie dochodzenie do przodu. Jednak zdawała sobie sprawę, że to próżny trud. Nie znajdzie w nich niczego nowego, przeglądała je tyle razy, że większość szczegółów mogłaby wyrecytować z pamięci.

Do zabójstwa doszło jedenastego stycznia bieżącego roku. Przypuszczalny czas zgonu przypadał między godziną siedemnastą a dwudziestą pierwszą, choć według patologa Waldemara Dolińskiego najprawdopodobniej doszło do niego koło dziewiętnastej. Co do przyczyny śmierci nie miał już żadnych wątpliwości, zresztą chyba wszyscy obecni na miejscu zdarzenia – także ci, którzy pierwszy

raz w życiu widzieli ofiarę morderstwa – wskazałoby dokładnie na to samo. Na dwie rany klute na plecach.

Tę większą, tuż koło lewej łopatki, zadano jako pierwszą. Ostrze trafiło w komorę serca i zahaczyło o płuco. Celem drugiego pchnięcia była zapewne prawa nerka, ale sprawca źle wymierzył i nawet jej nie drasnął. To akurat i tak nie miało większego znaczenia dla pani Anieli, zanim nóż ponownie zagłębił się w jej ciało, musiała już nie żyć. Narzędzia zbrodni, a właściwie narzędzi, bo obu tych ran na pewno nie zadano jednym nożem, nie znaleziono w mieszkaniu. Ani jak dotąd nigdzie indziej.

Policję wezwała sąsiadka zmarłej – Ewelina Janicka, lat sześćdziesiąt dwa. Zaniepokoiła się, bo od kilku dni nie widziała swojej koleżanki. Nigdzie, ani w cukierni, ani w sklepie spożywczym, ani koło kiosku czy pergoli śmietnikowej, a przecież czasem zdarzało się, że zupełnym przypadkiem wpadały na siebie nawet parę razy w ciągu dnia. Jednak tak naprawdę zaczęła się martwić dopiero w niedzielę, gdy Aniela nie pojawiła się na porannej mszy. Pomyślała, że gdzieś pojechała, chociaż dziwiła się, bo wcześniej o niczym takim jej nie wspominała, a zazwyczaj opowiadały sobie o swych planach.

Ponoć zanim kazanie dobiegło końca, Ewelinie przyszła do głowy inna ewentualność. Czyżby Aniela się rozchorowała lub przytrafił jej się nieszczęśliwy wypadek? Przewróciła się, złamała nogę i nie była w stanie samodzielnie wezwać pomocy? W końcu obie wkroczyły już w wiek, w którym zwykły upadek może okazać się tragiczny w skutkach. Postanowiła to sprawdzić i prosto po mszy poszła do jej mieszkania.

Komisarz nie trzymała w ręku raportu z przesłuchania, mimo to cytowała go w myślach niemal słowo w słowo. Sama go napisała, bo właśnie ona rozmawiała z Janicką. Podobnie zresztą jak ze wszystkimi zamieszkanymi w sprawie. Urszula Czyż słyneła bowiem z tego, że chciała osobiście



brać udział w każdym, nawet najmniej istotnym przesłuchaniu. Naprawdę rzadko zdarzało się, by zlecała to które-mukolwiek ze swoich podwładnych. Niektórych – w tym również jej przełożonych – to drażniło, zwłaszcza gdy w jakiejś sprawie było wyjątkowo dużo świadków i podejrzanych, a podejście policjantki sprawiało, że dochodzenie znacznie się przedłużało. Na ogół nie stanowiło to wielkiego problemu, tylko w bardziej medialnych przypadkach mogło prowokować zarzuty o zbytnią opieszałość. Zwykle więc przymykano oko na ten zwyczaj, gdyż komisarz szczyciła się imponującym poziomem wykrywalności.

W ciągu ostatnich czterech lat zaledwie jedno z prowadzonych przez nią śledztw nie zostało zwieńczone skazaniem sprawcy, i to wyłącznie dlatego, że w toku postępowania procesowego dopuszczono się błędów proceduralnych. Jednak to nie ona je popełniła, tylko nadzorujący sprawę prokurator Męciński.

Urszula wróciła myślami do siedemnastego stycznia, czyli dnia, w którym odnaleziono zwłoki. Ewelina zapukała do drzwi, lecz nikt jej nie otworzył. Usłyszała natomiast jakieś dobiegające ze środka odgłosy. Najpierw pomyślała, że to jęki chorej Anieli. Gdy wsłuchała się uważniej, zrozumiała, że ich źródłem jest telewizor. Wątpiła, by koleżanka gdzieś wyszła, zostawiając włączony odbiornik. Przypuszczała, że leży w mieszkaniu, bardzo osłabiona lub nieprzytomna. Janicka, nie mogąc dostać się do środka, postanowiła zadzwonić na policję.

Czyż znalazła się w mieszkaniu denatki dopiero sześć dni po morderstwie. Sprawca miał wystarczająco dużo czasu, by pozacierać większość śladów. Najwidoczniej wykorzystał tę okazję najlepiej jak mógł. Prowadziła to śledztwo od trzech miesięcy, a nadal nie trafiła na żaden konkretny trop. Podejrzanych było niewielu, a w dodatku wszyscy mieli niepodważalne alibi na czas śmierci Anieli Lipskiej.

Komisarz pokusiła się w myślach o gorzkie podsumowanie tej sytuacji. Trzymiesięczne dochodzenie. Brak narzędzia zbrodni. Nieustalony motyw. Brak śladów biologicznych; obcego DNA lub odcisku palca, choćby częściowego. Żadnych sensownych podejrzanych, przynajmniej takich, którzy naprawdę mogliby się tego dopuścić. Brak jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Po tylu tygodniach pracy nie mieli nic. Absolutnie nic. W tym momencie trudno było jej uwierzyć, że w tej sprawie wydarzy się jeszcze coś, co przewie ten marazm.

Spod sterty porzrzucanych na biurku akt rozległ się jakiś dźwięk. Sięgnęła po telefon. Nazwisko, które zobaczyła na wyświetlaczu, wcale nie poprawiło jej humoru. Wręcz przeciwnie.

\*\*\*

Pokój czy raczej kłitka, w której na co dzień przesiadywała Urszula, dzieliło od gabinetu komendanta kilka wąskich korytarzy i kilkanaście stopni schodów. Dwa piętra różnicy. Do pokonania tego dystansu wystarczyłyby góra trzy minuty, i to nawet w przypadku osób traktujących wszelką aktywność fizyczną jako zło konieczne. Komisarz Czyż można było śmiało zaliczyć do ich grona.

Zanim stanęła przed drzwiami przyozdobionymi tabliczką z napisem „Komendant Stanisław Walczak”, upłynął prawie kwadrans. Wystarczająco długo, by szef nie pomyślał sobie, że nudzi się w pracy i nie ma co robić, a z drugiej strony nie tak dużo, by zaraz po przekroczeniu progu usłyszeć reprimendę za lekceważenie poleceń przełożonego.

Nie łudziła się, że usłyszy coś miłego. Gdy odebrała, usłyszała jedynie: „Czyż, do mnie. Natychmiast!” i kliknięcie oznajmujące przerwanie połączenia.

## Urszula Czyż – 1990 rok

Wychyłam lampkę wina i daję się porwać do tańca mojemu chłopakowi. Właśnie w tej chwili kończy się wesola, skoczna piosenka i z magnetofonu zaczynają się sączyć dźwięki spokojnej ballady. Absolutnie mi to nie przeszkadza. Ernestowi też nie. Przyciąga mnie do siebie bliżej. Wtulam się w niego i opieram głowę na jego ramieniu. Jest mi tak dobrze, chcę, żeby ten utwór trwał i trwał. Czuję się cudownie.

Dziś są moje dwudzieste pierwsze urodziny. Na imprezie, którą z tej okazji urządziłam, towarzyszy mi wspaniały facet i grono oddanych przyjaciółek. Czego więcej potrzeba do szczęścia? Chyba niczego, przynajmniej nic nie przychodzi mi do głowy.

Odchylam się nieco i wpatruję się w twarz Ernesta. Odpowiada mi uśmiechem, któremu nie sposób się oprzeć. Nawet nie próbuję i obdarowuję go delikatnym pocałunkiem.

Doskonale pamiętam ten moment, gdy po raz pierwszy do mnie zagadał, choć było to już prawie dwa lata temu. Mimo że jestem całkiem ładna, nie mogłam uwierzyć, że taki przystojny mężczyzna zainteresował się akurat mną. A jednak. Zanim go poznałam, byłam w miarę zadowolona ze swojego życia, niczego mi w nim nie brakowało, lecz to właśnie on sprawił, że świat nabrał nowych barw.

Teraz trudno mi sobie wyobrazić, że mogłoby go tu nie być, a przecież wystarczyłby jakiś drobiazg, żebyśmy tamtego dnia się na siebie nie natknęli lub nie nawiązali rozmowy. Gdyby koleżanka, na którą wówczas czekałam, przyszła punktualnie, to nie siedziałabym w tamtej kawiarni sama i może wtedy Ernest nie zdecydowałby się podejść do mojego stolika. Albo gdybym to ja się spóźniła, to w ogóle bym go tam nie zastała, bo właśnie miał wychodzić. Na szczęście tak się nie stało.

Mam nadzieję, że będziemy razem już na zawsze. Nawet nie biorę pod uwagę innej możliwości. Bo w końcu co mogłoby nam w tym przeszkodzić? Przecież się kochamy. Do szaleństwa.

Nagle muzyka cichnie. To był ostatni utwór nagrany na tej stronie kasety. Chcę ją zmienić, ale Ernest nie wypuszcza mnie ze swoich objęć.

– Chyba nadszedł czas na prezent – mówi.

Patrzę na niego ze zdziwieniem.

– Już wszystkie rozpakowałam – odpowiadam. – Ten od ciebie też.

Uśmiecha się niepewnie, zupełnie jak nie on.

– Mimo to zaplątał się tu jeszcze jeden drobiazg.

Ernest wyciąga z kieszeni czerwone pudełeczko i klęka przede mną. Uchyła wieczko i widzę piękny pierścionek.

– Uleńko, kochana, wyjdiesz za mnie?

## ROZDZIAŁ 5

Stanisław Walczak z uwagą przyglądał się kobiecie, która właśnie przekroczyła próg jego gabinetu i głośno, zdecydowanie zbyt głośno, zamknęła za sobą drzwi. Była od niego kilka lat młodsza – nie przekroczyła jeszcze pięćdziesiątki. Musiał przyznać, że gdyby tego nie wiedział, oceniłby ją na więcej.

Może to przez tę fryzurę? – pomyślał. Włosy, choć krótkie, sterczały w różnych kierunkach, jakby przed wyjściem z domu nie znalazła czasu, by przeciągnąć po nich grzebieniem. Jeszcze ten kolor. Ani to brąz, ani blond, tylko coś pomiędzy. Taki nijaki.

Albo przez brak makijażu? – zamyślił się komendant. Zamiast cieni do powiek okolice jej oczu ozdabiała jedynie siateczka drobnych zmarszczek. Wąskie, zaciśnięte usta nie nosiły śladów szminki ani pomadki.

Urszula Czyż mierzyła nieco ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, mimo to przy nim mogłaby uchodzić za niską. Nie potrafił oszacować, ile waży. Był jednak przekonany, że jego podwładna ma lekką nadwagę, choć nazwanie jej otyłą uznał za przesadę, wydawało mu się, że jeszcze nie przekroczyła tej granicy, aczkolwiek niebezpiecznie się do niej zbliżała.

Komisarz wciąż stała tuż za progiem, jakby zastanawiała się, czy nie lepiej wymówić się jakąś pilną robotą i czym prędzej stąd czmychnąć.

– Proszę siadać – rzucił w końcu Stanisław. – Jak tam postępy w sprawie Anieli Lipskiej?

Urszula spodziewała się, że usłyszy właśnie to pytanie. Mimo to nie przygotowała dobrej odpowiedzi.

– Dochodzenie jest rozwojowe – odparła.

Walczak uśmiechnął się.

– Takie bzdury to będzie wygadywał nasz rzecznik, kiedy media wywęszą tę sprawę. Pytałem o konkrety.

Czyż ze zrozumieniem pokiwała głową. Po tyłu tygodniach pracy szef miał pełne prawo oczekiwać rezultatów.

– Chwilowo śledztwo utknęło w martwym punkcie – przyznała.

Była niemal pewna, że komendant zaraz uraczy ją tym, co w wielkich korporacjach oficjalnie nazywa się przemową motywacyjną, choć w praktyce, zarówno tam, jak i tu, sprowadzało się to zwykle do klasycznego opierdolu.

– Mhm, no tak – powiedział i odchylił się nieco na krześle, jakby głęboko się nad czymś zastanawiał. – Tak właściwie to nie wezwałem cię po to, by rozmawiać o Lipskiej.

– Nie? – zdziwiła się Urszula.

Przez głowę przebiegały jej różne myśli. Od awansu do zwolnienia, lecz w tym momencie jedno i drugie wydawało jej się mało prawdopodobne. Nie było ku temu żadnych podstaw. Niestety i na szczęście.

– Mamy kolejne zwłoki – poinformował ją Walczak.

Ze zdumieniem zauważył, że po tych słowach na twarzy komisarz wykwitło coś na kształt – niestosownego w tej sytuacji – uśmiechu.

Czyż wcale nie cieszyła się ze śmierci następnego człowieka. Mimo to liczyła, że druga ofiara, paradoksalnie, tchnie w jej śledztwo nowe życie. Świeże zwłoki to zawsze świeże ślady i nowe tropy. I kolejna szansa na to, że morderca pozwolił sobie na jakiś błąd czy chociażby drobne niedopatrzenie.

– To też kobieta? – spytała.

– Tak.

– Emerytka?

– Nie, zabito ją w miejscu pracy.

– To ile miała lat?

– Dokładnie jeszcze nie wiem. Około trzydziestki.

Komisarz skubnęła zębami wewnętrzną część policzka. Nie podobały jej się tak znaczące rozbieżności. Pani po siedemdziesiątce i trzydziestolatka. Jedna zamordowana w domu, druga w pracy. Punkt wspólny musiał tkwić w czym innym, zapewne w sposobie, w jaki dokonano obu tych zbrodni.

– Zginęła od ciosów nożem? – zgadywała.

– Nie mam pojęcia – odparł komendant. – Dostaliśmy to zgłoszenie pół godziny temu i właściwie nie znam żadnych szczegółów. Jak pojedziesz na miejsce, to sama wszystkiego się dowiesz.

– To skąd wiadomo, że coś łączy te sprawy?

– Jakie sprawy? – zdziwił się Walczak, nieco zniecierpliwiony tym potokiem pytań.

– Tę dzisiejszą i zabójstwo Lipskiej.

Stanisław spojrział na Urszulę tak, jakby powątpiewał w jej inteligencję.

– A czy ja mówiłem, że coś je łączy? – zapytał.

Komisarz musiała przyznać mu rację. Jednak skoro te dwa zgony nijak się ze sobą nie wiązały, to nie rozumiała,

dłaczego szef wezwał akurat ją. Przecież miała już sprawę, nad którą nadal pracowała.

– Dlaczego to ja mam się tym zajmować? – spytała.

Walczak przez chwilę zastanawiał się, czy się nie prześłyszał. Chyba jednak nie.

– Bo ta kobieta została zabita, a ty pracujesz w Wydziale Dochodzeniowo-Śledczym.

– Podobnie jak kilka innych osób.

– Po pierwsze musimy ochraniać ogólnopolski turniej piłki nożnej.

– Wszyscy?

– Poza Pawelcem i Kubikiem.

– To czemu Pa...

– Wyczuł pismo nosem i poszedł na zwolnienie lekarskie. Poza tym chcę, żeby śledztwo prowadziła kobieta. Ze względu na specyfikę miejsca zbrodni.

– Przedszkole? – spytała Czyż, krzywiąc się na myśl o biegających i piszczących maluchach.

– Nie – odparł spokojnie komendant.

– Salon kosmetyczny?

– Klub fitness – wyjaśnił zniecierpliwiony już Walczak. – Ćwiczą tam i pracują głównie kobiety. Będzie ci łatwiej z nimi rozmawiać, przypuszczam też, że możesz dostrzec coś, na co przeciętny facet, nawet śledczy, nie zwróciłby uwagi.

Brzmiało to logicznie. Możliwe, że komisarz podeszłaby do tego w ten sam sposób. Gdyby tylko nie chodziło akurat o nią!

Urszula nie znośła uprawiać sportu. Nigdy też nie przyszło jej do głowy, by iść do klubu fitness. Oczywiście wiedziała, co to jest, a w telewizji nieraz mignęły jej chude dziewczyny w legginsach wymachujące rękami, ale tak naprawdę nie miała o tym pojęcia. Kompletnie jej to nie interesowało i nie przypuszczała, że kiedykolwiek się to

zmieni. Nie, wbrew temu, co sądził komendant, nie była najodpowiedniejszą osobą. Wręcz odwrotnie!

Wizyta w tym miejscu napawała ją niechęcią. Domyślała się, z jakimi ludźmi przyjdzie jej się tam zetknąć, a to, że wśród nich mógł znajdować się także morderca, wcale nie było najgorsze. O wiele bardziej obawiała się tych wszystkich pracujących i przychodzących tam fanatyczek sportu, diet i zdrowego trybu życia. Wiedziała, że trudno jej będzie znaleźć z nimi wspólny język.

Rozumiała jednak, że nie ma innego wyjścia. Ofiara zasługiwała na to, by wykryć tego, który ją skrzywdził. Mimo to Urszula postanowiła wykorzystać jeszcze ostatni argument, jaki jej pozostał.

– A co ze sprawą Lipskiej? – zapytała.

Komendant popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Masz jakieś nowe wątki do zbadania?

– Nie.

– Podejrzanych do przesłuchania?

– Też nie.

– Cokolwiek innego?

Komisarz przecząco pokręciła głową.

– To jedź w końcu do tego klubu – rozkazał przełożony, zerkając na swój bajerancki zegarek. – Zanim zwłoki całkiem się tam rozłożą.

Wyświetlacz na nadgarstku Walczaka wskazywał dziewiątą dwadzieścia. A także dwadzieścia dziewięć stopni Celsjusza. W gabinecie.

## **Nina Rudzka – 2014 rok**

Łapię za poręcz tuż przed tym, jak autobus rusza. Trochę mną szarpie, ale utrzymuję się na nogach, mimo iż w przejściu jest ślisko od roztopiającego się śniegu nanieśionego przez pasażerów.



Nie lubię korzystać z komunikacji miejskiej, wolę dojeżdżać do pracy rowerem, lecz przy takiej pogodzie jak dzisiaj to nie najlepszy pomysł. Jednak tego wieczoru nawet się cieszę z tej przejażdżki w tłumie obcych ludzi, którzy niczego ode mnie nie chcą. Zresztą po całym dniu pracy czuję się wykończona, myśl o podjęciu jeszcze jakiegokolwiek wysiłku sprawia mi wręcz fizyczny ból. Zwłaszcza że doskonale zdaję sobie sprawę, że po powrocie do domu czekają mnie kolejne obowiązki, od których nie mogę się wykręcić. Właściwie ten krótki przejazd emzetką, w dodatku na stojąco, to moja jedyna chwila wytchnienia. Zbyt krótka, żeby naprawdę odpocząć, ale i tak bezcenna.

Od paru miesięcy towarzyszy mi niemal nieustające zmęczenie. Mam wrażenie, że z każdym dniem narasta i boję się, że w końcu przerośnie mnie całkiem. Najchętniej wzięłabym trochę wolnego i gdzieś wyjechała. Na dwa tygodnie. Na tydzień. Chociażby na weekend. Wiem jednak, że nie mogę sobie na to pozwolić. W pracy raczej nikt nie robiłby mi problemów, zostało mi jeszcze sporo niewykorzystanego urlopu, lecz na przeszkodzie w realizacji tego marzenia stało coś innego. Ktoś inny.

Co ze mnie za człowiek? – karcę się w duchu. Jak mogłam pomyśleć o własnej matce w ten sposób? Że jest przeszkodą. Przecież to nie jej wina, że poważnie zachorowała. Ona też z pewnością nadal wolałaby mieszkać u siebie i funkcjonować w pełni samodzielnie. Wzdycham. Nie mam żadnych złudzeń, te czasy to już przeszłość, mama nigdy nie wróci do swojego mieszkania.

Przyglądam się pozostałym pasażerom. Też nie wyglądają na wypoczętych. Zapewne większość z nich niedawno wyszła z pracy, ciesząc się z właśnie zaczynającego się weekendu. Możliwe, że siedzący dwa miejsca dalej chłopak po powrocie do domu umyje się, przebierze i pójdzie imprezować do jakiegoś klubu. Podobnie jak ta dziewczyna tuż obok mnie. Uświadamiam sobie, że jest mniej więcej

w moim wieku. To niesprawiedliwe, że ona może sobie na to pozwolić, a ja nie. Nie powinnam jej tak pochopnie oceniać, w końcu jej nie znam i nie wiem, z jakimi problemami przychodzi jej borykać się na co dzień, ale nic na to nie poradzę.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że ktoś może myśleć dokładnie to samo, patrząc na mnie. Też jestem młoda i nie mam wypisane na czole, że tego wieczora zamiast tańczyć i pić drinki, będę karmić i myć swoją matkę. A potem zajmować się nią przez całą sobotę i niedzielę, bo jedyna opiekunka, która jakimś cudem znosi jej wyzwiska i krzyki, kategorycznie odmówiła pracy w weekendy. Dlatego musiałam wziąć to na siebie. Ostatnio coraz częściej zastanawiam się, jak długo uda mi się to godzić z wykonywaniem obowiązków zawodowych. Jestem taka zmęczona.

Kiedy autobus zatrzymuje się na moim przystanku, przez moment nie ruszam się z miejsca. Chciałabym pojechać dalej. Gdziekolwiek. Byleby nie wracać do domu. Do utyskiwań starej matki. Do jej wiecznych pretensji. Kusząca perspektywa. Wiem jednak, że nie ucieknę. W końcu ona ma tylko mnie.

Gdy sobie to uświadamiam, stoję już na chodniku. Zarzucam kaptur na głowę i zmierzam w kierunku swojego bloku. Niesiony silnym wiatrem śnieg mrozi mi policzki. Mimo to idę bardzo, bardzo powoli. Odwlekając to, co i tak nieuniknione.

## ROZDZIAŁ 6

Czterdziestoletni brunet ostrożnie nachylał się nad piękną kobietą. Jego palce delikatnie przesuwają się po jej policzkach i smukłej szyi. Teoretycznie mogło stanowić to wstęp do miłosnych igraszek, ale panująca atmosfera daleka była od intymności. Oprócz nich kręciło się tu sporo innych osób, w dodatku para znajdowała się w centrum ich

zainteresowania. Mężczyźnie wcale to nie przeszkadzało, nie krępował się tym, przywykł. Kobieta z kolei wydawała się nieobecna, w przeciwieństwie do niego ona w takiej roli występowała po raz pierwszy.

Stojący niedaleko chłopak z kozią bródką obserwował ich poprzez obiektyw profesjonalnego aparatu fotograficznego. Właśnie robił zbliżenie na rozchylone wargi leżącej. Jako nastolatek marzył o pracy w branży filmowej, ale los inaczej pokierował jego życiem. Choć bardzo by tego chciał, nie znajdował się teraz na planie komedii romantycznej. Nie brał również udziału w żadnej erotycznej produkcji, mimo że zdjęcie, które właśnie zrobił, mogłoby to sugerować. Jednak kolejne ujęcie nie pozostawiało już miejsca na wątpliwości, o co naprawdę chodzi.

Odsunął aparat od twarzy i obejrzał to zdjęcie na wyświetlaczu. Palce, spoczywające na szyi kobiety, odcinały się od niej wyraźną bielą. Mężczyzna nie był wyjątkowo blady – po prostu miał na dłoniach lateksowe rękawiczki. Jego palec wskazujący niemal stykał się z szeroką na dwa centymetry pręgą w rozmaitych odcieniach czerwieni, fioletu i brązu. Ten widok był zbyt realistyczny, by mógł wyjść spod ręki nawet wyjątkowo uzdolnionego charakteryzatora. Zarówno to, jak i wszystkie inne zrobione tego dnia zdjęcia stanowiły fotograficzną dokumentację z miejsca zbrodni.

Waldemar Doliński podniósł się znad zwłok i zsunął rękawiczki.

\*\*\*

Lekarz medycyny sądowej nie miał tu już nic więcej do zrobienia, nie zamierzał jednak jeszcze opuszczać klubu. Postanowił poczekać na przybycie przedstawiciela Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego, by osobiście przekazać mu wstępne ustalenia co do stanu ofiary. Przez moment

zastanawiał się, komu przydzielono tę sprawę, ale w zasadzie było mu wszystko jedno, nie miał tam ani ulubieńców, ani wrogów. Kiedy ujrzał wchodzącą do sali komisarz Czyż, uśmiechnął się do niej tak samo, jak zrobiłby to na widok kogokolwiek innego. Towarzyszącego jej aspiranta Szymona Kubika także już kojarzył.

– Dzień dobry – przywitał się Doliński.

– Powiedzmy – odparła Urszula. – To co my tu mamy?

Patolog wcale nie obruszył się z powodu nieprzyjaznego tonu policjantki. Zdążył przyzwyczaić się do tego, że miała swoje humory. Uważał ją za świetną śledczą i to było dla niego najważniejsze. Najdobitniej świadczył o tym fakt, że od razu przeszła do rzeczy, pomijając uprzejmości i grzecznościowe formułki.

– Zwłoki – powiedział.

Jednych bawił ten tekst, drugich już nie, a jeszcze inni uważali, że jest niestosowny. Kiedy komisarz zgromiła go chłodnym spojrzeniem, przypomniał sobie, że akurat ona zaliczała się do tej ostatniej grupy. Na twarzy aspiranta dostrzegł jednak cień uśmiechu.

– Denatka to Nina Rudzka, lat dwadzieścia dziewięć – kontynuował, przybierając oficjalny ton.

– Skąd to wiesz?

– Od recepcjonistki. To ona znalazła ciało.

– Przyczyna zgonu? – padło z ust policjantki.

Doliński już miał na końcu języka tekst o morderczych skłonnościach sprawcy, ale powstrzymał się.

– Uduszenie.

Dla potwierdzenia swych słów lekarz wskazał na szyję leżącej kobiety. Urszula na dłużej zatrzymała wzrok na siwym fragmencie skóry. Kubik tylko przelotnie zerknął na ofiarę i skierował wzrok na przełożoną. Po samej jej minie i charakterystycznym, niemal niezauważalnym skubnięciu zębami wewnętrznej części policzka zorientował się, że coś jej tu nie pasuje.

– Domyślam się, że nie zrobiono jej tego gołymi rękami – powiedziała komisarz.

– Absolutnie nie ma takiej możliwości – zgodził się z nią patolog.

– Mamy narzędzie zbrodni? – spytała.

– I tak, i nie.

– Zdecyduj się, Waldek!

– Spokojnie, już tłumaczę. Zwróciłaś uwagę na szerokość tej bruzdy?

– Tak, jest dość duża i to mnie właśnie zastanawia.

– I słusznie. Z pewnością nie wykorzystano do tego zwykłego sznura, liny ani żyłki.

– Są zbyt cienkie – wtrącił Kubik.

– To też – przyznał Doliński. – Poza tym sznurek czy cokolwiek innego wykonanego z włókien nie zostawiłoby takiego śladu, nie byłby tak równomierny, zwłaszcza na brzegach. Zanim się tu pojawiliście, uważnie go sobie obejrzałem, i to w dużym powiększeniu. Krawędzie tej pręgi są niemal idealnie gładkie, w zasadzie bez żadnych nierówności, nie licząc tych będących wynikiem powtórnego zaciskania.

– Co nadal nie zmienia faktu, że mogło do tego posłużyć mnóstwo różnych rzeczy – stwierdziła Urszula. – Chociażby pasek od spodni.

– Masz rację – potwierdził patolog. – Teoretycznie możliwości jest wiele. Gdyby te zwłoki znaleziono gdziekolwiek indziej, to byłbym ostrożny w sugerowaniu potencjalnego narzędzia zbrodni, przynajmniej nie bez dokładniejszych analiz...

– Do rzeczy – przerwała mu policjantka, kątem oka obserwując, jak jej podwładny przygląda się poszczególnym akcesoriom do ćwiczeń.

– Jednak w tym miejscu od razu zwróciłem uwagę na coś, co mogło przydać się mordercy.

Ku zdumieniu komisarz lekarz, zamiast natychmiast powiedzieć jej, co to takiego, podszedł do Szymona Kubika.

– Dobrze kombinujecie, aspirancie – rzucił Doliński.

– Myśli pan, że została uduszona tym czymś? – spytał policjant, wskazując na jakieś kolorowe pasy.

– Tak, wydaje mi się to bardzo prawdopodobne.

– A co to w ogóle jest? – zacięła się Urszula.

Patolog zmierzył ją uważnym spojrzeniem, zupełnie tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Zdecydowanie nie wyglądała na miłośniczkę sportu. Chyba że w telewizji, chociaż w to też powątpiewał. Mógłby się założyć, że nigdy wcześniej nie była w takim klubie.

– To specjalne gumy do ćwiczeń – wyjaśnił. – Można je wykorzystywać w dwóch celach. Do rozciągania poszczególnych mięśni, jak i do wzmacniania czy rozbudowywania konkretnych partii ciała poprzez tak zwany progresywny opór.

Akurat to ostatnie mówiło komisarz najmniej. Rozumiała, co osobno znaczą te dwa słowa, ale razem były dla niej niejasne.

– Przepraszam, nieprecyzyjnie się wyraziłem – powiedział Doliński. – Na ogół wykorzystuje się je w dwóch celach. Przy odpowiedniej dozie kreatywności lub determinacji można znaleźć dla nich także inne zastosowanie. Takie jak chociażby to – dodał, wskazując na zwłoki właśnie przygotowywane do transportu.

– Myślisz, że są wystarczająco mocne? – dociekała Czyż.

Najchętniej sama wzięłaby do rąk jedną z gum i to sprawdziła, ale nie chciała niszczyć ewentualnych śladów.

– Tak, bez wątpienia – odparł patolog. – W zależności od rodzaju te taśmy mogą wytwarzać od kilku do kilkunastu kilogramów oporu, a żeby zamknąć światło tętnic szyjnych, wystarczy tylko około czterech, pięciu kilogramów. Tyle, ile waży przeciętna...

– Ludzka głowa – dokończyła komisarz.

– Właśnie – potwierdził Doliński.  
– Jesteś pewien, że to tym ją uduszono?  
– Oczywiście bez dokładnej analizy nie mogę mówić o stuprocentowej pewności, ale tak, przypuszczam, że to właśnie ta guma była narzędziem zbrodni.

Komisarz rozejrzała się po sali, gdzie technicy kryminalistyczni wciąż zabezpieczali ślady, zbierając odciski palców, podeszew butów i wkładając mnóstwo drobiazgów do niewielkich przezroczystych torebek na dowody rzeczowe. W żadnej z nich nie dostrzegła jednak kolorowej taśmy.

– Wiadomo, której z tych gum użyto? Najprawdopodobniej? – dodała, widząc, że patolog już otwiera usta, by to uściślić.

– Trudno powiedzieć – przyznał. – Gdy tu przyjechałem, kilka z nich leżało na podłodze, żadnej nie było ani na szyi ofiary ani w pobliżu ciała. Trzeba będzie sprawdzić je wszystkie, jeśli na któreś zostały ślady naskórka, to z pewnością ją znajdziemy.

– Albo i nie – wtrącił się do rozmowy Kubik.

Urszula i Waldemar okazali się wyjątkowo zgodni i rzucili aspirantowi pytające spojrzenia.

– Sprawca mógł zabrać gumę ze sobą – wyłuszczył swą teorię Szymon.

– To całkiem możliwe – zgodził się patolog.

– Kiedy doszło do zgonu? – spytała Czyż.

– Wstępnie zakładam, że między szesnastą a dwudziestą pierwszą. Na pewno zamordowano ją tutaj. Sądząc po kolorze i umiejscowieniu plam opadowych, nikt nie przynosił zwłok. Macie jeszcze jakieś pytania, bo w zasadzie powinienem już jechać?

Komisarz pokręciła głową.

– Na razie nie – odpowiedziała. – Odezwij się, jak dokładnie ją zbadasz.

– Jasne, tak zrobię. To na razie.

– Do widzenia – odparł aspirant.

Patolog nie spodziewał się usłyszeć od Urszuli żadnej pożegnalnej formułki. Nie zawiódł się.

## Krystian Rogaczewski – 2008 rok

Boli mnie głowa. Nie wiem, czy to od muzyki rozbrzmiewającej w sali na parterze, czy od przeskakujących mi przed oczyma liczb na nieopłaconych fakturach. Pewnie jedno i drugie.

Z niechęcią wpatruję się w papiery. Widmo rychłego bankructwa wydaje się coraz bardziej nieuchronne. To wszystko nie miało tak wyglądać. Zupełnie nie tak.

Kiedy przed trzema laty otwierałem ten lokal, chciałem stworzyć miejsce, jakiego jeszcze w tym mieście nie było. Nie zwykłą pijalnię piwa, lecz ekskluzywny klub, gdzie można nie tylko skosztować alkoholi z górnej półki cenowej, ale także posłuchać muzyki granej na żywo w ramach kameralnych koncertów. Zamysł wydawał się dobry. Na tyle dobry, że zdecydowałem się wziąć spory kredyt na jego realizację.

Niestety, nie uwzględniłem jednego niezwykle istotnego elementu. Przeważająca część mieszkańców w okolicy ludzi zarabia pensję minimalną lub niewiele więcej. Kto z nich mógłby pozwolić sobie na raczenie się szklanecką whisky za kilka stów? Nikt.

Tuż po otwarciu ludzie tu przychodzili, owszem, lecz chcieli pić wyłącznie piwo i tanią wódkę, której wówczas nie miałem nawet w ofercie. Pierwszy koncert, jaki udało mi się zorganizować, także nie przyciągnął tłumów. Z pewnością dlatego, że artysta nie był zbyt znany, ale ci popularni żądali tak horrendalnych stawek za występ, że aż trudno uwierzyć.

Musiałem szybko zweryfikować swoje ambitne plany. Zrozumiałem, że taki klub nie ma tu racji bytu. Przenio-



słem drogie butelki do tej klitki, w której urządziłem sobie biuro, a w barze znalazły się trunki dostosowane cenowo do lokalnej klienteli. Mimo to nie zrobiło się o wiele tłoczniej, w miasto poszła już fama, że to klub dla bogatych snobów, choć w praktyce niemal nikt taki tu nie zaglądał. Zresztą, zmieniając nieco profil działalności, przestałem być konkurencyjny, bo zupełnie zwyczajnych, podrzędnych knajp w tym mieście nie brakowało.

Jednak stopniowo interes się rozwijał, ale nie na tyle, by przynosił znaczące zyski. Jakoś się to kręciło, przynajmniej dopóki po drugiej stronie ulicy, zaledwie parę budynków dalej, nie otwarto baru, w którym serwowano głównie piwo i burgery. Tam szybko zaroiło się od ludzi, także tych, którzy do tej pory przychodzili do mnie. Obroty spadły, lecz robiłem wszystko, by finansowo utrzymać się na powierzchni. Niestety, niewiele to dało, przecież nie można rozwadniać piwa w nieskończoność. I tak od kilku miesięcy ciągle jestem pod kreską.

Przymykam oczy i wsłuchuję się w dobiegającą z dołu muzykę. Przyjemny kobiecy wokół, który ostatnio często słychać we wszystkich stacjach radiowych. W ten piątkowy wieczór ta artystka zdziera głos za niemałe pieniądze, grając na żywo. Ale nie w moim klubie, który kiedyś miał być lokalnym centrum kultury i rozrywki. Tutaj jej utwory są odtwarzane z pendrive'a, na który ściągnąłem z internetu cały jej najnowszy album. Tak było o wiele taniej.

Przyglądam się ostatniej kopercie, która dzisiaj przyszła. Wygląda jak kolejny rachunek. Rozrywam papier. Wezwanie do zapłaty. Liczę zera. Po trzecim przestaję i odkładam kartkę na biurko.

Niech to szlag!

## ROZDZIAŁ 7

– Nie może pan tam wejść.

Umundurowany policjant zastąpił drogę mężczyźnie w średnim wieku, który usiłował dostać się do klubu.

– Ale jestem właścicielem, to mój lokal.

Młody funkcjonariusz uważnie mu się przyjrzał. Stojący przed nim człowiek miał na sobie cienki lniany garnitur. Według posterunkowego beżowy, choć jego narzeczona powiedziała by pewnie, że w kolorze kawy z mlekiem, lecz wcale nie zdziwiłby się, gdyby użyła jeszcze bardziej dziwnego określenia. Mimo to i tak ją kochał. Przewiewna marynarka wyglądała na idealnie dopasowaną, policjant przypuszczał, że została uszyta na zamówienie. Wiedział, że to nie są tanie rzeczy, mężczyzna rzeczywiście mógł być tu szefem.

– Jak się pan nazywa? – zapytał.

– Krystian Rogaczewski.

Posterunkowy zerknął do notesu.

– Ma pan jakiś dokument tożsamości?

Mężczyzna bez słowa wyciągnął z wewnętrznej kieszeni skórzany portfel i wysunął z niego dowód. Policjant przyglądał mu się uważnie, jakby podejrzewał, że trzyma w dłoni falsyfikat. Nic jednak na to nie wskazywało. Trochę szkoda – pomyślał.

Praca nie okazała się tak ekscytująca, jak przedstawiano ją w serialach kryminalnych, które kiedyś tak uwielbiał. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że ich bohaterowie są znacznie starsi stopniem niż on, mimo to na co dzień trudno mu było ukryć rozczarowanie. Wiele by dał, żeby zamiast sterczeć tu przed drzwiami jak portier, móc chociaż przyglądać się poczynaniom pani komisarz. Ech, gdybym tylko mógł tam pójść – jęknął w duchu.

– Coś nie tak? – spytał Krystian.

– Nie, proszę pana, wszystko w porządku – odparł, oddając mu dokument.

Promienie słońca odbiły się od gładkiej powierzchni plastiku. W tym momencie i w głowie posterunkowego rozbrzmiała pewna myśl.

– Zaprowadzę pana – powiedział.

\*\*\*

Krystian zatrzymał się w progu otwartej na oścież sali ćwiczeń. Kiedy Olga Nowik do niego zadzwoniła, wyrwała go z głębokiego snu. Absolutnie nie zamierzał zjawiać się tu dziś tak wcześnie. Jednak przez telefon recepcjonistka nie powiedziała mu nic konkretnego. Usiłował to z niej wyciągnąć, ale chyba była w szoku. W kółko powtarzała tylko: „to straszne”, „taka tragedia”, „jak to się mogło stać”.

Patrzył teraz na grupkę mężczyzn, którzy raz po raz sięgali do swoich walizeczek, wyciągając stamtąd jakieś pędzelki, proszki i płyny. Jego uwagę przykuwał duży czarny worek. Rogaczewski od razu domyślił się, że leżą w nim zwłoki.

– Kim pan jest? – usłyszał.

Odwrócił się i ujrzał starszą krótkowłosą kobietę. Na określenie pierwszego wrażenia wystarczyło mu jedno słowo. Nieprzyjazna.

– To właściciel klubu.

Zanim sam zdążył odpowiedzieć, wyręczył go w tym policjant, którego spotkał przy wejściu. Uparł się, że go tu przyprowadzi, mimo zapewnień Krystiana, że sam trafi – w końcu był u siebie. Mundurowy nie dał się jednak przekonać, mętnie tłumacząc się jakimiś procedurami.

– Coś jeszcze? – spytała posterunkowego.

– Właściwie to nie – przyznał.

– To wracaj na dół – rozkazała.

Młody funkcjonariusz otworzył usta, jakby mimo wszystko chciał coś dodać, lecz w ostatniej chwili zrezygnował.

Widocznie uznał, że dyskusja z przełożoną nie przyniesie niczego dobrego.

Uwaga i spojrzenie policjantki ponownie skupiły się na przybyłym.

– Krystian Rogaczewski – przedstawił się.

– Komisarz Urszula Czyż. Możemy porozmawiać?

Po jej tonie poznał, że nie bierze pod uwagę odmowy.

– Jak najbardziej – odparł. – Może przejdziemy do mojego gabinetu? Tam będzie... – zamyślił się nad doбором odpowiedniego słowa. – Wygodniej.

Komisarz zerknęła na porozrzucane przyrządy do ćwiczeń, choć jej bardziej kojarzyły się z narzędziami tortur. Pomijając już fakt, że jedno z nich mogło i prawdopodobnie stało się narzędziem zbrodni. Uznała, że wszędzie będzie lepiej niż tu.

– Dobrze – odpowiedziała. – Skoro pan nalega...

## **Krystian Rogaczewski – 2010 rok**

– Cześć.

– Witaj! Jak ci na imię?

– Jessica.

– Ile masz lat?

– Dziewiętnaście.

– Dlaczego chcesz pracować w fitness klubie?

– Bo uwielbiam sport. Ogólnie lubię się ruszać.

– A czemu powinienem zatrudnić akurat ciebie?

– Naprawdę sporo potrafię i jestem niezłe rozciągnięta.

– No dobrze, to pokaż, co umiesz.

Dziewczyna obraca się tyłem, po czym sięga dłońmi do podłogi. Legginsy, które ma na sobie, idealnie podkreślają kształt jej pośladków. Rozsuwa nogi nieco szerzej. Stopniowo schodzi coraz niżej, aż do pełnego szpagatu.

– Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. Zostaw numer, jak przesłucham pozostałe kandydatki, to może się odezwę.

– Ale bardzo mi zależy na tej pracy – mówi Jessica.

– Jak bardzo?

– Bardzo.

– Słowa to trochę za mało, musisz inaczej mnie przekonać. Zawstydzona dziewczyna spuszcza wzrok. W końcu kiwa głową i zaczyna się rozbierać.

Nie odrywając wzroku od ekranu komputera, zsuwam nieco majtki i chwytam w dłoń sztywniejącego penisa. Parę dni temu trafiłem na Pornhubie na kanał FIT-casting. Nie przypuszczałem, że jego zawartość aż tak mi się spodoba. Wcześniej nawet przez myśl mi nie przeszło, że ten cały fitness może być do tego stopnia podniecający. Do tej pory kojarzył mi się raczej ze spoconymi grubymi babami.

Patrzę przed siebie, jednocześnie poruszając dłońią w górę i w dół. Na filmie nie widać rekrutera, więc bez trudu wyobrażam sobie, że ta ruda Jessica zaciska wargi na moim członku. Kiedy uświadamiam sobie, że mógłbym przeprowadzać takie rozmowy kwalifikacyjne w rzeczywistości, momentalnie dochodzę. Tak szybko, że nie zdążyłem nawet sięgnąć po papierowy ręcznik.

Oglądam dalszą część „treningu”. Dziewczyna cudownie jęczy, choć wcale nie z wysiłku. Gdy mężczyzna z filmu trycka spermą na jej twarz, czuję, że mój penis znów twardnieje.

Wiem, że to nie jest nagranie z prawdziwej rozmowy o pracę, inaczej ten gość pewnie dawno miałby już sprawę w sądzie, ale i tak myślę sobie, że fajnie by było zostać właścicielem takiego fitness klubu. Niestety, nie stać mnie na to, nie spłaciłem jeszcze długów po poprzednim niezbyt udanym interesie.

Wyłączam komputer, mimo to w pamięci nadal mam tę dziewczynę w ciasnych legginsach. A później bez nich.

Nie mogę pozbyć się z głowy tego widoku ani myśli o otwarciu własnego fitness klubu. Zarówno jedno, jak i drugie wydaje mi się bardzo kuszące.

Tylko skąd mam wytrzasnąć na to forszę? No skąd?

## ROZDZIAŁ 8

Urszula usadowiła się na skórzanej kanapie, która skrzyiała przy każdym jej ruchu. Nawet nie chciała wyobrażać sobie, jakie dźwięki wydawałaby podczas robienia tu czegoś innego.

Gabinet właściciela klubu, w którym wylądowała razem z aspirantem Kubikiem, przypominał raczej pokój w prywatnym mieszkaniu. Poza tą nieszczęsną kanapą znajdowała się tu spora szafa (raczej na ubrania niż dokumenty), zastawiony bibelotami regał, parę kwiatków w doniczkach i duży telewizor. Wyposażenia dopełniał obrotowy fotel i niewielki szklany stolik, na którym oprócz laptopa mogłaby zmieścić się co najwyżej filiżanka z kawą. Żadnych porzrzucanych papierów, faktur czy teczek. O normalnych krzesłach dla gości nawet nie wspominając.

Najwidoczniej Rogaczewski rzadko wykorzystywał to miejsce do celów służbowych; sądziła, że interesantów czy partnerów biznesowych przyjmował zupełnie gdzie indziej. Co zapewne zdarzało się nieczęsto. Przypuszczała, że lwia część klientów zasięgała informacji w recepcji lub od osób prowadzących zajęcia.

– Napiją się państwo czegoś? – zapytał Krystian.

– Chętnie – odparła Czyż.

– Ja też poproszę – dodał Szymon.

– Woda mineralna? Zielona herbata? A może sok pomidorowy albo z buraka? – zasypał ich propozycjami gospodarz.

– Dla mnie woda – powiedziała. – Gazowana.

Kiedy komisarz ugasiła pierwsze pragnienie, zastanawiała się, gdzie może odłożyć szklanke i z braku lepszego pomysłu postawiła ją na podłodze. Musiała mieć wolne ręce, żeby spisać zeznanie właściciela klubu. Teoretycznie mogła to zlecić aspirantowi, lecz знаła już charakter pisma Kubika i nie zamierzała tracić czasu na rozszyfrowywanie jego bazgrołów. Co prawda później i tak raporty przepisywano na komputerze i dopiero wtedy dołączano je do oficjalnych akt, ale w trakcie tej czynności wielu policjantów dokonywało stosownych, według nich, skrótów. Przez to często ginęły jakieś szczegóły, drobne wskazówki, które mogłyby naprowadzić na istotny trop. Urszula wolała się nie zastanawiać, ile spraw trafia z tego powodu do archiwum z adnotacją „umorzone”. Zresztą bez względu na to zawsze wolała mieć własne notatki, do których mogła zerknąć w każdej chwili, nawet wyrwana ze snu w środku nocy jakąś na pozór nieprawdopodobną hipotezą.

– Pozwoli pan, że od razu przejdę do rzeczy? – zapytała.

– Ależ naturalnie – zapewnił ją Rogaczewski.

– Dobrze, to po kolei. Wie pan, kim jest ofiara?

– Nie.

Czyż nieco się zdziwiła.

– Myślałam, że ktoś pana poinformował i dlatego pan się tu pojawił. Zawsze przyjeżdża pan do klubu o tej porze?

– Nie, zazwyczaj dopiero po południu – odparł, po czym zreferował policjantom rozmowę telefoniczną z Olgą Nowik.

– Zmarła to Nina Rudzka. Kojarzy pan tę kobietę?

Gdy tylko wymówiła to nazwisko, od razu dostrzegła na twarzy Krystiana wyraźny grymas. Na tym etapie nie była jednak w stanie ocenić, czy to wynik żalu, czy może strachu.

– Tak, nawet całkiem nieźle – odpowiedział. – To jedna z instruktorek.

– Od kiedy tu pracowała? – zaciekała się Czyż.

– Wydaje mi się, że zaczęła mniej więcej półtora roku temu. Dokładnie nie pamiętam, musiałbym sprawdzić w dokumentach.

– Na razie nie ma takiej potrzeby, ale może później do tego wrócimy. Był pan z niej zadowolony?

– Tak, nigdy nie miałem do niej żadnych zastrzeżeń. Nie spóźniała się, nie odwoływała nagle treningów. Nina robiła swoje i nie sprawiała problemów. Poza tym klientki bardzo ją lubiły i chętnie przychodziły na jej zajęcia.

– Skoro cieszyła się taką popularnością, to pewnie przynosiła klubowi znaczące zyski – zauważył aspirant.

– Niezupełnie – zaprzeczył Rogaczewski.

To od razu wzmogło czujność policjantki. To dopiero pierwsze pytanie na temat kwestii finansowych, a właściciel już unikał udzielenia konkretnej, a przynajmniej jednoznacznej odpowiedzi.

– Może pan sprecyzować? – poprosiła.

– Kiedy Nina prowadziła zajęcia, zwykle miała pełną lub niemal pełną salę. Gdyby przychodziła tu codziennie i udało jej się utrzymać ten poziom zainteresowania, to rzeczywiście wtedy przełożyłoby się to na solidne pieniądze dla klubu.

– A czemu się tak nie działo? Nie przychodziła tu każdego dnia? Przecież przed chwilą twierdził pan, że nie odwoływała zajęć.

Komisarz od razu wychwyciła tę nieścisłość w zeznaniach Krystiana i postanowiła natychmiast wykorzystać to przeciwko niemu.

– Nie, nie odwoływała, to fakt. Jednak pracowała tu dorywczo. Prowadziła dwa treningi w tygodniu.

– Dlaczego tylko tyle?

– Gdy przyjmowałem ją do pracy, więcej nie było trzeba.

– Nie przeszkadzało jej to? – zdziwił się Kubik.

– Nie, jej też bardzo odpowiadało takie rozwiązanie – odparł Rogaczewski. – Z czasem chciałem poszerzyć za-



kres naszej współpracy, po raz pierwszy proponowałem jej to rok temu, ale nie była zainteresowana.

– Dlaczego? – spytała Urszula. – Pracowała gdzieś jeszcze?

– Raczej nie, przynajmniej ja nic o tym nie wiem.

– Przyznam, że nie mam pojęcia na temat wysokości wynagrodzeń pańskich pracowników, zakładałam jednak, że nie są to jakieś astronomiczne kwoty.

– Według mnie stawki wcale nie należą do najniższych, chociaż personel pewnie uważa inaczej. Ale podejrzewam, że byłoby tak, nawet gdyby zarabiali pięć razy więcej.

– Możliwe, jednak chodziło mi o to, że ta instruktorka nie dałaby rady utrzymać się za pieniądze z tych paru treningów miesięcznie.

– Zdecydowanie nie – zgodził się właściciel klubu.

– Dlaczego więc nie przystała na pańską propozycję?

– Tłumaczyła to względami osobistymi. Twierdziła, że nie da rady tego wszystkiego pogodzić.

– A czego konkretnie?

– Tak właściwie to nie wiem. Nie chciałem być wścibski. Uznałem, że to jej prywatna sprawa i nie dopytywałem o szczegóły.

Komisarz zanotowała tę informację w notesie. Konieczne musiała dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat. To może być istotne – pomyślała. W końcu klucz do rozwiązania zagadki śmierci instruktorki wcale nie musiał znajdować się w tym klubie. Doskonale wiedziała, że większość kobiet zostaje zamordowana z pobudek osobistych, zazwyczaj przez męża, kochanka lub odrzuconego adoratora. Nie sądziła jednak, żeby Rogaczewski mógł jej powiedzieć coś ciekawego o życiu uczuciowym zamordowanej.

– Nina Rudzka prowadziła zajęcia dwa razy w tygodniu – rzekła. – Czy miała ustalone stałe dni i godziny treningów?

– Tak – potwierdził Krystian. – Ogólnie staramy się tak układać grafik, żeby jak najrzadziej go modyfikować.

Zresztą, jak pewnie dobrze pani wie, w profesjonalnych klubach fitness to już standard.

Urszula nie miała o tym pojęcia, mimo to ze znanstwem pokiwała głową.

– Klienci bardzo to sobie cenią, lubią przychodzić regularnie o tych samych, odpowiadających im porach. Oczywiście czasem trzeba nieco zmieniać ten harmonogram, zależnie od okoliczności. Rozumie pani, instruktorzy też chorują i zdarza się im łapać jakieś drobne kontuzje uniemożliwiające pracę.

Tak, rozumiała to, aczkolwiek szczegóły prowadzenia takiej firmy niespecjalnie ją interesowały. Nie przyszła tu na prelekcję o branży fitness, tylko w sprawie tego jednego konkretnego morderstwa.

– To w jakie dni pracowała tu ofiara? – spytała.

– W środy i piątki, od godziny siedemnastej.

– Do?

– Zazwyczaj takie treningi trwają godzinę.

Chyba uznał, że powinnam to wiedzieć – pomyślała komisarz, uzupełniając notatki. Jakby to było oczywiste, że każdy musiał się na tym znać. Ciekawe, czy ten eleganek jest równie dobrze obeznany ze standardowymi procedurami policyjnymi. Kusilo ją, żeby zrobić mu mały test z tego zakresu, ale się powstrzymała.

– Rozumiem, że w takim razie wczoraj też prowadziła tu zajęcia?

– Tak, wydaje mi się, że tak.

– Nie jest pan pewny?

– Na sto procent nie. Nie siedzę tu cały czas i nie nadzoruję wszystkiego osobiście. Ale tak, powinna wczoraj prowadzić trening. Tak wynika z grafiku.

– Czy nie licząc klientek, ktoś może potwierdzić, że rzeczywiście tu wtedy była?

– Tak. Chociażby recepcjonistka. Olga Nowik.

– A pan co robił w tym czasie?

– Jadłem obiad – odparł Krystian. – W domu. Z żoną – dodał, domyślając się następnego pytania.

Urszula póki co nie miała podstaw, by uważać go za podejrzanego. Przynajmniej nie bardziej niż kogokolwiek innego.

– Nie przychodzi panu do głowy nikt, komu mogłoby zależeć na śmierci Rudzkiej?

Rogaczewski zaprzeczył.

– Może miała jakiś konflikt z którymś ze współpracowników? – zasugerował Kubik.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo.

– Z nikim nigdy się tu nie pokłóciła? – zdziwiła się komisarz. – Nie mówię zaraz o wielkiej awanturze. Nie słyszał pan o jakiejś drobnej sprzeczce? Różnicy zdań?

– Proszę pani, to nie jest podstawówka ani przedszkole – zirytował się właściciel klubu. – Pracują tu sami dorośli ludzie i jeśli zdarzają się pomiędzy nimi jakieś tarcia, to załatwiają to we własnym gronie, nie przychodzą do mnie, by się poskarżyć.

– Czyli uważa pan, że żadna z zatrudnionych tu osób nie miała powodów, aby zabić Rudzką?

– Jestem co do tego przekonany – potwierdził.

– Dziwi mnie ta pewność – stwierdziła Urszula. – Skąd może pan to wiedzieć, skoro nie ma pan pojęcia, jak wyglądają relacje pomiędzy pracownikami?

– To uczciwi ludzie. Nawet jeśli czasem powiedzą sobie parę słów za dużo, to jeszcze nie czyni ich to mordercami.

– Zwykle nie – przyznała policjantka. – Jeżeli według pana nie stoi za tym ktoś z personelu, to może jakiś klient?

Rogaczewski przez moment się zastanawiał.

– Trudno mi to ocenić – powiedział.

– Dlaczego?

– Jest ich tu dość dużo, zresztą ciągle pojawiają się nowi. Większości z nich nie znam i nie kojarzę nawet z widzenia.

Czyż spodziewała się takiej odpowiedzi. Przez chwilę musiała zastanowić się nad sformułowaniem następnego pytania. Nie, wcale nie dlatego, że nie miała na nie pomysłu, po prostu zdawała sobie sprawę, jaką reakcję może wywołać.

– Jak określiliby pan swoje stosunki ze zmarłą?

Rozmyślnie zdecydowała się na użycie tego dwuznacznego słowa, choć bez problemu mogłaby użyć całkowicie neutralnego. Wiedziała jednak, że właśnie to określenie najczęściej wzbudzało zmieszanie lub popłoch u przesłuchiwanym. To był też dobry test sprawdzający, czy podejrzanego łączyło z ofiarą coś więcej. Mimo to na twarzy właściciela klubu nie dostrzegła żadnego grymasu.

– Myślę, że nasze relacje można określić jako poprawne.

Urszuli nie uszedł uwagi fakt, jak mocny nacisk położył Krystian na słowo „relacje”. Zupełnie tak, jakby ją przejrzał i od razu chciał jej dać do zrozumienia, że takie insynuacje są zdecydowanie nie na miejscu.

– Tylko poprawne? – dopytywała. – Ludzie często określają w ten sposób kontakty z ludźmi, za którymi nie przepadają, ale z różnych względów ich tolerują. Bo na przykład muszą regularnie przebywać ze sobą w tych samych miejscach, chociażby w pracy, i nie chcą eskalować wzajemnej niechęci.

– Nie to chciałem powiedzieć – zaprotestował Rogaczewski. – Mówiąc poprawne, chodziło mi o to, że nie byliśmy ze sobą zbyt blisko. Łączyły nas wyłącznie relacje zawodowe, typu pracodawca-pracownik. Nie przyjaźniliśmy się, nie spotykaliśmy się w czasie wolnym, nie rozmawialiśmy na prywatne tematy. Tak naprawdę na co dzień w zasadzie nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Czasami nie widywałem jej całymi tygodniami, a kiedy natykaliśmy się na siebie w klubie, to zwykle ograniczaliśmy się do zdawkowego powitania. Dlatego użyłem takiego sformułowania.

– Spokojnie, proszę się nie denerwować. Po prostu nie chciałam zostawiać miejsca na niedomówienia. A już z pewnością nie zamierzałam sugerować tego, o czym pan chyba pomyślał.

Rogaczewski wyglądał tak, jakby chciał coś dodać, ale tylko upił łyk ze swojej szklaneczki. Po kolorze gęstego płynu Urszula wywnioskowała, że właściciel klubu zdecydował się na sok pomidorowy.

Przeniosła wzrok na swój notatnik, upewniając się, czy ma wszystko, czego w tym momencie potrzebowała. Zostały jeszcze trzy kwestie.

– Może mi pan podać adres domowy Niny Rudzkiej? – spytała.

– Zaraz poproszę recepcjonistkę, żeby odszukała go w papierach.

– Nie trzyma pan w gabinecie żadnych klubowych dokumentów? – zadała pytanie, które nurtowało ją, odkąd tu weszła.

– Nie.

Tak lakoniczna odpowiedź absolutnie jej nie satysfakcjonowała. Co prawda nie dotyczyło to bezpośrednio jej śledztwa, mimo to zapytała z czystej ciekawości.

– Dlaczego? Czy tak nie byłoby wygodniej?

– Wręcz przeciwnie – odparł Krystian. – Nie tylko ja muszę mieć dostęp do firmowej dokumentacji, a jak wspominałem, nie przesiaduję tu całymi dniami. A kiedy mnie tu nie ma, gabinet jest zamknięty na klucz, który mam jedynie ja. Nikt tu nie wchodzi bez mojego wyraźnego zaproszenia, a już na pewno nie podczas mojej nieobecności.

Jest w tym jakaś logika – stwierdziła w duchu policjantka. Choć w takim przypadku to raczej nie gabinet, a coś w rodzaju azylu, w którym można ukryć się przed dziećmi lub w spokoju przespać po kłótni z żoną.

– Aha – odparła. – Czy przy okazji może pan poprosić recepcjonistkę o przygotowanie listy uczestników zajęć

denatki? A najlepiej wszystkich osób, które wczoraj były w klubie. Łącznie z pracownikami.

– Oczywiście, zaraz się tym zajmę.

Komisarz podniosła się z kanapy i przypadkiem potrąciła butem szklankę, którą sama postawiła na podłodze.

– Zapomniałabym, jeszcze jedno – powiedziała. – Wchodząc do klubu, zauważyłam kamerę. Chciałabym zobaczyć, co wczoraj uchwyciła.

– Dobrze, proszę chwilę poczekać.

Urszula niechętnie z powrotem przysiadła na skrzypiącym meblu. Tuż koło jej nogi rozlewała się niewielka kałuża wody mineralnej. Chyba już bez gazu.

## Grażyna Bryk – 1980 rok

Włączam gaz pod patelnię i sięgam po olej. Rodzice są jeszcze w pracy, więc sama odgrzewam sobie obiad. Właściwie nie jestem głodna, moje myśli krążą wokół czegoś innego niż jedzenie.

Wieczorem wybieram się razem z koleżankami na dyskotekę. Już nie mogę się doczekać. Głównie dlatego, że pojawi się na niej również Kamil. To taki przystojniak. Wysoki brunet o uroczym uśmiechu. Chyba wszystkie dziewczyny z mojej szkoły się w nim podkochują. Ja też. Mam nadzieję, że dzisiaj uda mi się zwrócić na siebie jego uwagę. W tym celu specjalnie pożyczyłam od Karoliny czerwoną miniówkę. Jest śliczna, idę do łazienki, by przymierzyć ją kolejny raz.

Z zadowoleniem przeglądam się w lustrze. Spódniczka ledwo zakrywa tyłek, lecz wcale mi to nie przeszkadza. Przy okazji bowiem eksponuje moje długie zgrabne nogi, a jeśli chodzi o wygląd, bez wątpienia to właśnie one stanowią mój największy atut. Co prawda buzię także mam dość ładną, za to niezbyt duże piersi. A przynajmniej nie

tak duże jak Karolina czy Ania, choć łudzę się, że jeszcze urosną.

Dobrze, że rodziców nie ma w domu. Gdyby mama zobaczyła mnie w miniówce, z pewnością nie pozwoliłaby mi tak wyjść i musiałabym się przebrać. Tylko ciekawe w co? W końcu najkrótsza spódnica, jaka wisi w mojej szafie, sięga daleko za kolano. Nadaje się na szkolny apel lub niedzielną mszę, ale nie na dyskotekę.

Z kuchni dobiega do mnie grzechotanie pokrywek, trzeba trochę przykręcić gaz. Szybko zrzucam z siebie pożyczoną kieckę. Gdybym ją poplamiała, Karolina by się wściekła.

W samych majtkach i skarpetach biegnę do kuchni. Wpadam w poślizg na rozprysniętym na podłodze oleju. Odruchowo macham ręką, usiłując się czegoś przytrzymać. Utrzymuję równowagę, jednak potrącona patelnia spada z kuchenki. Oblewając rozgrzanym tłuszczem moje nagie uda.

## ROZDZIAŁ 9

Zamontowany na ścianie telewizor nagle ożył, rozświetlając się reklamami. Krystian Rogaczewski podniósł pokrywę laptopa i wpatrywał się w niego tak, jakby był w gabinecie całkiem sam, a przynajmniej zupełnie stracił zainteresowanie swoimi gośćmi. Aspirant Kubik zastanawiał się, czy gospodarz w ten wyjątkowo nieuprzejmy sposób nie stara się dać im do zrozumienia, że uważa ich rozmowę za zakończoną. Zerknął na przełożoną, ale ta nie ruszała się z miejsca, więc także postanowił poczekać.

Wpatrywał się w telewizor. Krzykliwy blok reklamowy zastąpił kojący widok dzikiej natury. Na Jedyńce właśnie zaczynał się film przyrodniczy o zwierzętach zamieszkujących amazońskie lasy deszczowe. Gdyby był teraz w domu, to pewnie oglądałby go razem ze swoim synkiem – Leszkiem, który uwielbiał takie programy i zawsze zadawał dużo pytań.

Szymon obserwował przelatującego nad dżunglą tu- kana, ale jego lot nagle się urwał. Ptak nie został jednak zastrzelony przez myśliwego ani porwany przez jakiegoś drapieżcę. Po prostu zniknął. Razem z drzewami, biegnącą w dole olbrzymią rzeką oraz wszystkimi kolorami. Zapi- erający dech w piersiach krajobraz zastąpiło nagranie utrzymane w różnych odcieniach szarości.

– Zapis, z której kamery najbardziej państwa interesu- je? – zapytał właściciel klubu.

– Najwięcej dałby nam ten pokazujący, co działo się na sali, w której znaleziono zwłoki – odpowiedziała komisarz.

– Obawiam się, że to niemożliwe – odparł Krystian.

– Dlaczego?

– Monitoring w naszym klubie ogranicza się tylko do dwóch kamer. Jednej przed wejściem i drugiej w głów- nym holu.

– Czyli sale ćwiczeń, szatnie, korytarze i wszystkie po- mieszczenia na piętrze pozostają poza ich zasięgiem? – upewnił się aspirant.

– Niestety tak – przyznał właściciel.

– Dobrze, zacznijmy od tej kamery przed wejściem – powiedziała Czyż.

– Od której godziny? – dopytał Rogaczewski.

– Trening skończył się o osiemnastej, tak?

Właściciel klubu potwierdził.

– Skoro wczoraj nikt się nie zorientował, to do zabójstwa musiało dojść dopiero po zajęciach – stwierdziła Urszula.

– W związku z tym sprawca mógł stąd wyjść najwcze- śniej parę minut po – dodał aspirant.

Przełożona spojrzała na niego, ale nie wiedział, czy powinien zinterpretować jej minę jako wyraz uznania, czy nagany.

– Zacznijmy od za piętnaście – postanowiła.

Krystian wykonał kilka kliknięć i wkrótce na telewizo- rze wyświetlił się obraz z żadaną godziną w prawym dol-



nym rogu ekranu. Oko kamery obejmowało niewielki fragment chodnika przed budynkiem. Tuż przed osiemnastą przechodziło tamtędy wiele osób, ale żadna z nich ani na moment nie zatrzymała się przed klubem. Nie było w tym niczego zaskakującego, w końcu po treningu prowadzonym przez Ninę Rudzką nie odbywały się tu już żadne zajęcia.

Od ludzi z zewnątrz policjantkę o wiele bardziej interesowały osoby wychodzące z ProFitu. Morderca mógł być jedną z nich. W trakcie pierwszych minut nagrania drzwi nie otworzyły się ani razu.

– Może pan trochę przewinąć? – spytała.

Po chwili pojawiający się na ekranie ludzie poruszali się zdecydowanie szybciej. Mimo upływu czasu nadal nikt nie chwycił za klamkę. Ani z jednej, ani z drugiej strony.

We troje w milczeniu przypatrywali się migającym kadrom. Cyferki w dolnym rogu wskazywały już osiemnastą sześć. Trening się skończył, niedługo powinni wyjść jego uczestnicy. Możliwe, że w tamtym momencie jeszcze przebierali się w szatni. A dokładnie o tej samej porze ktoś właśnie dusił instruktorkę.

– Proszę spowolnić – odezwała się komisarz. – Nie chcę przegapić nikogo z wychodzących.

Obraz na telewizorze znowu poruszał się w normalnym, rzeczywistym tempie, choć wszystkim zebranim w gabinecie wydawało się, że ludzie uchwyteni przez kamerę idą wolniej. Upłynęły cztery minuty, zanim drzwi po raz pierwszy otworzyły się od wewnątrz.

Ze środka wyszła tylko jedna kobieta. Nie dało się o niej zbyt dużo powiedzieć – kamera zarejestrowała jedynie zarys sylwetki i tył głowy. Dopiero gdy klientka skręciła w prawo, na nagraniu mignął fragment jej twarzy. Na tej podstawie nie było szans, by ustalić jej personalia. Niedobrze – pomyślała Urszula.

W ciągu kolejnych kilku minut budynek opuszczały następne uczestniczki zajęć. Same kobiety. Pojedynczo,

w parach lub większych grupach. Policjantka naliczyła ich dziewięć, ale szybko wyszła i dziesiąta. Po niej drzwi, do-  
tąd uchylające się w kilkudziesięciosekundowych odstępach, zamknęły się na dłużej.

– Ile osób zwykle uczestniczy w takim treningu? – spytała.

– Od kilku do kilkunastu – odparł Krystian.

– Możliwe, że na wczorajszych zajęciach Rudzkiej było ich dziesięć?

– To bardzo prawdopodobne. Zazwyczaj po jakimś czasie ustala się pewna liczba klientek, które stale przychodzą na te same treningi. Oczywiście ciągle pojawia się ktoś nowy, ewentualnie któraś z pań rezygnuje lub po prostu nie może się danego dnia pojawić, jednak trzon grupy pozostaje dość stabilny. Nina cieszyła się gronem wiernych klientek.

– Zna je pan?

– Nie, ale wiem, że niektóre z nich przychodzą tu od dawna, część nawet kojarzę z widzenia.

– Czyli póki co widzieliśmy na nagraniu same klientki? – upewniała się komisarz. – Nikogo z personelu?

– Zgadza się.

– Ilu pracowników znajdowało się w tym czasie w klubie?

Co prawda Urszula poprosiła już o wykaz, jednak wciąż go nie otrzymała.

– No cóż, nie było mnie tu wtedy, ale przypuszczam, że dwie osoby – stwierdził Rogaczewski. – Nina i Olga.

– Mhm – mruknęła Czyż i zapisała to w notatniku.

Rozmowa z właścicielem klubu nie przeszkadzała jej w dalszym obserwowaniu zapisu monitoringu. Dlatego też zauważyła, że nagle obraz stał się wyraźnie ciemniejszy. Nie potrzebowała zbyt wiele czasu, by domyślić się, dlaczego. Ktoś pogasił wszystkie światła w głównym holu. Chwilę później z klubu wyłoniła się jakaś drobna postać.

Komisarz zerknęła w róg ekranu. Osiemnasta dwadzieścia siedem. Od wyjścia poprzedniej osoby minęło dokładnie dziewięć minut. Jednak w odróżnieniu od pozostałych

kobiet ta zabawiła przed drzwiami nieco dłużej, a nawet odwróciła się twarzą do kamery, chociaż wcale na nią nie patrzyła. Po prostu zamykała klub.

Uwagę policjantki przykuł drobny szczegół. Nie była pewna, czy to złudzenie optyczne, czy mizerna jakość obrazu, lecz wydawało jej się, że paznokcie kobiety nieznacznie różnią się kolorem, a raczej skalą szarości. Może to kwestia kąta padania światła? – pomyślała. Postać na nagraniu obróciła się i ruszyła przed siebie, przechodząc przez ulicę.

Szklany stolik w gabinecie Rogaczewskiego zadrżał. Właściciel klubu sięgnął po telefon i odebrał.

## ROZDZIAŁ 10

– To jest ta lista, o którą pani prosiła – powiedziała dziewczyna siedząca za ladą.

Na ścianie za stanowiskiem recepcjonistki stał szeroki regał. Śmiało można było nazwać to miejsce strefą zakupów, minimarketem czy raczej fitmarketem z dość dużym asortymentem. W poszczególnych rzędach ustawiono szampony, żele pod prysznic, dezodoranty i antyperspiranty, ręczniki, a także drobne elementy garderoby. Za szklanymi osłonami wyeksponowano niewielkie akcesoria do ćwiczeń i elektroniczne gadżety, przeważnie smartbandy prezentujące liczbę spalonych kalorii. Na pozostałych półkach stały małe butelki z wodą mineralną, sokami owocowymi – niemal na każdej etykietce widniał duży napis *sugar free* lub *100% natural* – rozmaite preparaty witaminowe i suplementy diety, batony białkowe oraz inne produkty spożywcze.

Urszula Czyż nie kojarzyła większości z nich. W sklepach, w których zwykle robiła zakupy, czegoś takiego nie widywała. Osobiście wątpiła, by to wszystko nadawało się do zjedzenia lub wypicia, ale nawet jeśli, to nie wierzyła, żeby mogło być smaczne. W końcu co jest smacznego w bezcukrowych waflach opakowanych w papierek ze słowem *fit*,

*slim* czy *dietetic* w nazwie? Już samo to nie brzmiało zachęcająco, chociaż przypuszczała, że wśród stałych bywalców klubu nie brakowało takich, którzy chętnie się nimi objadali, i to w ilościach absolutnie nieuznawanych za dietetyczne. Skoro tu były, to znaczy, że się sprzedawały, w innym przypadku zastąpiono by je zwykłymi lionami, snickersami czy princessami. Kokosową, oblaną białą czekoladą, to chętnie bym zjadła – pomyślała. Wiedziała, że takiej tu nie znajdzie, chyba że w czyjejś prywatnej szafce. Dzisiaj jednak nie mogła do nich zajrzeć, nie miała jeszcze nakazu.

Komisarz zerknęła na kartkę, którą dostała od recepcjonistki. Lista osób przebywających wczoraj w klubie tuż przed jego zamknięciem potwierdzała to, co przed chwilą oglądała na nagraniu. W sumie dwanaście nazwisk, z których dwa potrafiła już połączyć z twarzami. Pierwszą z nich zobaczy po raz kolejny w prosektorium, w drugą właśnie się wpatrywała.

Olga Nowik mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Zadbana i atrakcyjna, stanowiła naprawdę niezłą wizytówkę klubu. Patrząc na nią, pewnie wiele kobiet uznawało, że warto zostawić tu swoje pieniądze, ewentualnie pieniądze mężów, by wyglądać podobnie. Nawet jeśli wiedziały, że to naiwne myślenie. Przecież żaden trening – choćby bardzo intensywny i regularny – nie sprawi, że grubawa starsza pani, obwisła i pomarszczona, nagle przemieni się w gładką, jędrną i do tego jeszcze szczupłą dwudziestolatkę.

Komisarz nigdy nie była w żadnym innym klubie fitness, ale przypuszczała, że w każdym z nich musi pracować ktoś taki jak Olga. Zapewne przy rekrutacji na to stanowisko większość kandydatek odrzucano już na podstawie samego zdjęcia dołączonego do CV i traktowano je poważniej niż całą resztę kwalifikacji – uznała Czyż.

Jednak tym, co szczególnie przykuwało uwagę w wyglądzie recepcjonistki, nie była ani zgrabna sylwetka, ani ładna twarz, choć może stojący obok aspirant miałby na ten te-

mat nieco inne zdanie. Już kiedy Olga podawała jej tę listę, policjantka zrozumiała, że te dziwne odcienie na dłoniach dziewczyny, które widziała na nagraniu, nie wynikały z nierównomiernie padającego światła. To nie złudzenie optyczne. Każdy z jej paznokci był pomalowany na inny kolor. Zielony, czerwony, żółty, niebieski, na różowym kciuku skończywszy. Na czarno-białym zapisie z kamery barwy te różniły się jedynie odcieniem, lecz na żywo wręcz biły po oczach.

Urszula nawet nie zerknęła dla porównania na własne dłonie. Wiedziała, że na króciutko przyciętych paznokciach nie ma ani grama lakieru, a jedyne kolorowe ślady na ich płytkach to efekt naturalnych przebarwień.

Imiona i nazwiska klientek z listy nic jej nie mówiły. Przekazała wydruk Kubikowi.

– Chcielibyśmy chwilę porozmawiać – zwróciła się do recepcjonistki.

Olga w odpowiedzi tylko skinęła głową. Widocznie śmierć koleżanki z pracy bardzo nią wstrząsnęła, przecież na co dzień musi być o wiele bardziej komunikatywna – pomyślała komisarz.

– Czy to pani zamykała wczoraj firmę? – spytała.

– Tak.

– Należy to do pani codziennych obowiązków?

– Tak, w zasadzie tak.

Policjantka uznała to sformułowanie za nieco dziwne, zrzuciła to jednak na karb dużego stresu. Na razie nie drążyła sprawy.

– Czy zwykle przed zamknięciem upewnia się pani, że w klubie już nikogo nie ma?

– Można tak powiedzieć. Zaglądam do szatni, gaszę światła, ale nie wchodzę do wszystkich pomieszczeń.

– A jak wyglądało to wczoraj?

Recepcjonistka musiała się zastanowić. Nie chciała niechciać pomieszać, zdawała sobie sprawę, że jej roztargnienie

i mylenie dni, które na co dzień stanowiło jedynie drobną niedogodność, może zostać tu potraktowane jako próba składowania fałszywych zeznań.

– Pod sam koniec poszłam na górę. Na całym piętrze było ciemno, mimo to zajrzałam do szatni. Czasem klientki zapominają zgasić światło, a z korytarza tego nie widać.

– Było zgaszone?

– Tak, tym razem tak.

– Sprawdzała to pani także w sali, w której Nina prowadziła zajęcia?

– Nie.

– Dlaczego? Czyżby instruktorkom nigdy nie zdarzało się nie zgasić światła po treningu? – zdziwiła się komisarz.

– Oczywiście, że się zdarza. Tylko że drzwi do sal mają duże szyby. Dlatego nawet gdy są zamknięte, z zewnątrz widać, czy w środku się świeci.

Urszula próbowała sobie przypomnieć ich widok, przecież nie tak dawno przez nie przechodziła. Bez skutku. Dopiero wówczas uświadomiła sobie, że gdy pojawiła się na miejscu zbrodni, drzwi były otwarte na oścież.

– Czyli są przezroczyście? – spytała. – Wszystko przez nie widać?

Wcześniej o tym nie pomyślała. Zakładała, że do morderstwa doszło, gdy w klubie nadal przebywały niektóre uczestniczki zajęć, a sprawca dusił instruktorkę, kryjąc się za zamkniętymi drzwiami. Jeżeli jednak były w nich duże szyby, ktoś mógłby go nakryć. Chyba że robiłby to po ciemku, co wydawało się mało prawdopodobne, choć o tej porze roku po godzinie osiemnastej mrok dopiero zapada, nie jest jeszcze nieprzeniknioną czernią.

– Niezupełnie – odparła Olga. – Są mleczne. Trudno zza nich dostrzec, co dzieje się w środku, ale światło widać.

– I wczoraj były zamknięte?

– Tak. Chyba tak.

– Co działo się później?

– Nic. To znaczy zeszałam na parter, zgaszałam świaała w korytarzu i holu, a potem wyszałam i zamknałam klub.

– O ktorej?

– Wpól do siódmej. Moze chwila wcześniej.

Do tej pory wszystko zgadzało się z tym, co komisarz widziała na nagraniu.

– Przejdźmy do tego, co działo się dzisiaj. O ktorej otworzyła pani klub?

– Koło ósmej dwadzieścia.

– Czy drzwi były zamknięte? Na klucz?

– Tak.

– Nie było żadnych problemów z zamkiem? Klucz się nie zacinał?

– Nie, wszystko wyglądało tak samo jak zwykle.

– Czy po wejściu do środka coś zwróciło pani uwagę?

Urszuli wydawało się, że recepcjonistka nieco się waha, jakby się zastanawiała lub próbowała coś ukryć.

– Proszę mówić, śmiało – zachęciła ją.

– To w sumie taki drobiazg, nie wiem, czy to w ogólne istotne...

– To sprawa o morderstwo – przerwała jej komisarz. – Tutaj każdy szczegół może być ważny. Proszę powiedzieć, a my już sami zdecydujemy, czy nam się to do czegoś przyda, czy nie.

– No dobrze – zgodziła się Olga. – Kiedy tu weszłam, uświadomiłam sobie, że klimatyzacja jest włączona.

– Czyli zwykle na noc jest wyłączana?

– Tak.

– Kto to robi?

– Ten, kto jako ostatni wychodzi z klubu.

– Czyli zazwyczaj pani – dopowiedział aspirant.

Recepcjonistka przytaknęła.

– A wczoraj ją pani wyłączała? – spytała Urszula.

– No właśnie nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że raczej tak. Dlatego dzisiaj ten chłód w środku od razu przykuł moją uwagę.

Policjantka zamyśliła się. Olga Nowik absolutnie nie należała do jej ulubionego typu przesłuchiwanym. Była roz-targniona i niepewna swoich odpowiedzi. W dodatku do repertuaru najczęściej używanych przez nią słów należały: „wydaje się”, „raczej” i „chyba”, a przecież trudno polegać w śledztwie na tego typu sformułowaniach. Jednak informacja o niskiej temperaturze w budynku mogła okazać się istotna, i to z wielu powodów. Zanotowała ją i podkreśliła.

– Gdzie jest przełącznik od klimatyzacji? – zapytała.

– Tam – odparła dziewczyna, wskazując na panel przy-mocowany na ścianie niedaleko wejścia do toalety.

Urszula pokiwała głową. Jeszcze będąc piętro wyżej w gabinecie Krystiana Rogaczewskiego, poprosiła wła-ściciela klubu o udostępnienie pełnego zapisu z obu ka-mer, zarówno z wczoraj, jak i dzisiaj. Na miejscu bowiem nie byli w stanie uważnie obejrzyć tego w całości, zresztą ktoś i tak musiał zabezpieczyć nagranie jako materiał dowodowy w sprawie. Później specjaliści z działu tech-nicznego przestudiują je klatka po klatce i sporządzą sto-sowny raport – mimo to komisarz od razu zamierzała wspomnieć im, żeby sprawdzili, kto i kiedy majstrował przy klimatyzacji.

Tak, na nagraniu z kamery monitorującej hol i recep-cję włącznik będzie widoczny – uznała. Sądziła, że film z wczorajszego wieczora jedynie potwierdzi jej domysły. Przypuszczała, że wówczas nikt nie dotykał tego pokręta, a roztrzępana recepcjonistka zwyczajnie nie dopełniła swo-ich obowiązków. Jeżeli mimo wszystko się mylę, to może zrobić się naprawdę ciekawie – stwierdziła w duchu.

– Co było potem? – spytała. – Od razu weszła pani na górę?



Olga pokręciła przecząco głową, po czym zrelacjonowała policjantom swoje poczynania z dzisiejszego poranka. Gdy doszła do momentu, w którym zabrała się za porządkowanie sali zajęciowej na parterze, Urszula przerwała jej.

– Stop! – powiedziała. – Czy pani jest tutaj pracownikiem od wszystkiego? Sprzątaniem też się pani zajmuje? – zdziwiła się.

– Niezupełnie. Robię to tylko w ograniczonym zakresie. W zasadzie co rano ogarniam tę jedną salę. Zresztą robię to jedynie tymczasowo, dopóki szef nie zatrudni kogoś na stałe.

Czyż odnotowała tę informację w notesie do późniejszego sprawdzenia.

– Skupmy się na tym, co najważniejsze – rzuciła komisarz. – O której poszła pani na górę?

– Około wpół do dziewiątej. Może trochę później – odparła Olga i zamilkła.

– Proszę opowiedzieć, co było dalej – zachęcił ją aspirant.

– Weszłam do sali treningowej i zdziwiłam się, bo panna tam totalny bałagan.

– Co w tym dziwnego? – komisarz znów jej przerwała. – Przecież o sali na dole mówiła pani to samo.

– Tak, ale Nina jako jedyna instruktorka w tej firmie zawsze po sobie sprzątała.

– Widocznie wczoraj nie zdążyła – mruknęła policjantka. – Czy od razu zauważyła pani zwłoki?

– Nie.

– Dlaczego? Nie rzuciły się w oczy?

– Nina leżała pod przeciwległą ścianą – wyjaśniła Nowik. – Do tego ktoś przykrył jej ciało matami do ćwiczeń.

Komisarz zamyśliła się.

– Czyli nawet gdyby pani tu wczoraj zajrzała, ale stanęła tylko w progu, by wyłączyć światło, to nie dostrzegłaby zwłok?

– Mówiłam już, że wczoraj światło w tej sali było zgaszone – przypomniała recepcjonistka.

– Tak, wiem, pytam hipotetycznie. Proszę odpowiedzieć.

– Gdybym zignorowała ten bałagan, to raczej bym jej nie zauważyła.

Policjantka liczyła na właśnie taką odpowiedź.

– To kiedy natknęła się pani na denatkę? – dopytywał Kubik.

Zawahanie na twarzy Olgi było zdecydowanie wyraźniejsze niż jej makijaż. W końcu wzięła głęboki wdech i powiedziała:

– Dopiero wtedy, gdy zaczęłam tu sprzątać.